

Wiles

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 1-9 maja 1948 r.

Nr 18-19 (147-148)

Witold Łukaszewicz

MANIFEST SPRZED STU LAT 1848 - 1948

MANIFEST KOMUNISTYCZNY

W OSTATNICH dniach lutego 1848 roku ukazała się w Londynie skromna trzydziestostronicowa broszura w języku niemieckim: pt. „Manifest Partii Komunistycznej” opracowana przez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa na zlecenie tajnego Związku Komunistów, międzynarodowego zrzeszenia robotniczego. W Paryżu lud święcił swój triumf chwilowy nad burżuazją Ludwika Filipa, na barykadach powiewały jeszcze czerwone sztandary. Europa feudalna, w kleszczach Świętego Przymierza, drżała w posadach. Fala rewolucyjna rozlała się na Niemcy, Włochy, Austrię, Prusy, sięgała granic carskiej Rosji. W świeżym wiosennym powietrzu krzyżowały się splecione w różnorodnych słowach hasła wolności, równości, braterstwa, konstytucji i niepodległości. Myśl liberalna i narodowa opanowywała w zależności od terenu akcji rewolucyjnej umysły i serca, pchała do buntu przeciw despotyzmowi monarchii i ministerialnemu. W czołowie rewolucyjnej w Paryżu, Wiedniu, Berlinie, Medolanie, kroczył wszędzie młody proletariatus. Rewolucyjna burżuazja zapierała ręce z zadowolenia pewna, że i tym razem uda się jej zdyskontować wysiłki proletariatus na swoją wyłączną korzyść, na wzmocnienie wyzysku człowieka przez człowieka. Genialni przywódcy tworzącej się klasy robotniczej, Marks i Engels, odkryli przed proletariatem ukryte zamiary burżuazji i niedobitków feudalnych, formułując w Manifestie Komunistycznym cele i środki działania dla międzynarodowego ruchu robotniczego w oparciu o sumienną podstawę naukowo-badawczą.

Od tej chwili zaczął się nowy rozdział w historii ruchu robotniczego, w polityce, ekonomii, socjologii, historii kultury... i w wielu innych dziedzinach życia i nauki. Socjalizm otrzymał podstawę naukową, przestał być utopią. Manifest Komunistyczny stał się ewangelią proletariatus, rodzicielką nowych genialnych myśli Lenina i Stalina, twórców największego na świecie państwa socjalistycznego ZSRR., przodującego światowej klasie robotniczej w ostatniej walce z kapitalizmem i imperializmem. W walce tej słowa: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”, wypisane na okładce pierwszego wydania Manifestu, są nieśmiertelnym drogowskazem.

PODŁOŻE HISTORYCZNE MANIFESTU KOMUNISTYCZNEGO

Doktryna marksowska, wyłożona tak jasno i przekonująco w Manifestie Komunistycznym, pozostaje w ścisłej łączności z ówczesną rzeczywistością ekonomiczną i społeczną systemu kapitalistycznego i stanowi odbicie walki klas, jaka się w jego łonie rozgrywała. Jednocześnie jest to doktryna spadkobierczyńa wszystkich poprzedzających ją

zdobyczy myśli postępowej, tego co stworzyła przed nią najlepsza niemiecka filozofia, angielska ekonomia polityczna i francuski socjalizm.

Marks w chwili ukazania się Manifestu liczył zaledwie 30 lat, miał już poza sobą redaktorstwo „Gazety Reńskiej”, dziennika o pozycyjnego o orientacji burżuazyjno-liberalnej. Przybywszy do Paryża w październiku 1843 roku Marks stał się socjalistą pod wpływem ruchu robotniczego francuskiego i studentów nad Rewolucją Francuską. Pobyt Marksa w Paryżu trwał do stycznia 1845 roku, kiedy na żądanie rządu pruskiego został wypędzony do Brukseli. W Paryżu Marks nie ograniczył się wyłącznie do obcowania z licznymi emigrantami niemieckimi, głównie krawcami i stolarzami, skupionymi w tajnym Związku Sprawiedliwych (1836) o podłożu babeufistycznym, który pozostawał w łączności z podziemnymi francuskimi organizacjami robotniczymi, wyrosłymi na tradycji weglarskiej. Tu wraz z Arnoldem Ruge, lewym heglistą, Marks wydawał w roku 1844 „Niemiecko-Francuskie Roczniki” (Deutsch-Französische Jahrbücher), w których głosił zasadę, że społeczeństwo określa i reguluje państwo, a nie na odwrót, że więc polityka i jej historia dają się objaśnić przez stosunki ekonomiczne i ich rozwój.

W lecie 1844 roku odwiedził Marksa w Paryżu młodszy od niego o lat dwa Fryderyk Engels, syn fabrykanta nadreńskiego, odbywający wówczas studia nad położeniem klasy robotniczej w Anglii. Obydłaj uzgodnił ze sobą poglądy we wszystkich teoretycznych dziedzinach i nawiązał dożgonną przyjaźń, połączone z ścisłą współpracą. Marks w Paryżu pozostawał w bliskich stosunkach z socjalistami i komunistami francuskimi różnych odcieni, poznawał warunki życia francuskiej klasy robotniczej i jej dążenia. Doświadczenia paryskie dostarczyły Marksowi dużo cennego materiału przy formułowaniu zasad Manifestu. Szczególnie pożyteczne były dla młodego Marksa prace historyczne utalentowanego dziejopisa Wielkiej Rewolucji Francuskiej Laponneraye'a, który widząc po roku 1830 sadowiącą się u władzy burżuazję, prowadził kursy publiczne w Paryżu i uświadamiał na nich słuchaczy, głównie ze środowiska rewolucyjnego, francuskiego i międzynarodowego, (polskich i włoskich emigrantów) o roli proletariatus w historii jako przeciwnika i nieuniknionego następcy burżuazji w rządzeniu państwem. Dzieje zaś Rewolucji przedstawiał jako walkę różnych klas społecznych. Laponneraye był uczniem Babeufa, walczył z anarchią ekonomiczną ustroju kapitalistycznego i upatrywał ideał prawdziwie republikański w bezklasowym społeczeństwie komunistycznym. Blanqui w czasie nieudanego powstania majowego 1839 roku umieścił Laponneraye'a na liście członków przyszłego rządu ludowego. Nie bez znaczenia, jeśli chodzi o koncepcję antyklerykalne Marksa, był wpływ drugiego babeufisty, Jana Jakuba Pillota, organizatora pierwszego bankietu komunistycznego w Belleville w roku 1840, uznającego w katolicyzmie źródło tyranii politycznej i społecznej. Razem z Pillotem i Blanqui był Marks w roku 1848 członkiem klubu rewolucyjnego, zwalczającego burżuazyjny Rząd Tymczasowy Lamartine'a. Prócz wymienionych oddziaływał na Marksa Teodor Dezamy, którego uważano za największego naukowca wśród komunistów francuskich, stojących na gruncie materializmu. Uznawał on w swej głośnej pracy „Code de la Communauté” materializm za jedyną logiczną podstawę komunizmu. Dezamy upatrywał w ustroju kapitalistycznym trzy cechy charakterystyczne: 1) anarchię interesów indywidualnych w dzungli wolnej konkurencji monopolów; 2) przeciwieństwa klasowe; 3) wyzysk proletariatus. Dezamy był zdecydowanym przeciwnikiem organizowania robotników w partię, świadomą swych celów społeczno-politycznych, odrzucał też zdecydowanie od komunizmu penetrację wszelkich pierwiastków chrześcijańskich i pseudohumanistycznych, zaprawionych mistycyzmem Bucheza, księdza Lamennais, oraz wyrosłych na ich podłożu mgiełek romantycznych. Siłą strona Dezamy'ego było to, że nie wprowadzał do swego programu — walki fizycz-

nej z burżuazją i nie uznawał konieczności dyktatury proletariatus w celu zupełnego jego wyzwolenia a z nim i całego społeczeństwa z więzów kapitalizmu.

W sierpniu Blanqui uznawał Marks za najdzielniejszego przywódcę młodej, tworzącej się w walce z burżuazją i klerikalizmem francuskiej klasy robotniczej. „Blanqui — pisał Marks w roku 1861 — to głowa i serce proletariackiej partii we Francji” (do Dr. Watteau).

W Brukseli Marks i Engels pogłębili swe studia nad kapitalizmem i proletariatem, spożytkowując obserwacje i doświadczenia niemieckie, francuskie, angielskie, belgijskie. „Nie byliśmy więc bynajmniej tego zdania — pisał Engels w „Przyczynku do historii Związku Komunistów — by nowe wyniki naukowe zakomunikować cichaczem w grubych tomach wyłącznie „uczonemu” światu. Przeciwnie. Tkwiłszy już obaj głęboko w ruchu politycznym, mieliśmy już pewną ilość zwolenników w warstwach oświeconych, szczególnie w zachodnich Niemczech, oraz poważną łączność ze zorganizowanym proletariatem. Obowiązani byliśmy naukowo uzasadnić nasze poglądy, niemniej jednak było dla nas ważne pozyskanie dla naszych przekonań proletariatus europejskiego, a zwłaszcza niemieckiego. Skorośmy tylko sami wszystko sobie wyjaśnili, zabraliśmy się do roboty”.

W Brukseli założyli Marks i Engels niemieckie stowarzyszenie robotnicze i oświatną redakcję „Deutsche Brüsseler Zeitung” aż do rewolucji lutowej 1848 roku; utrzymywali stosunki z rewolucyjnym skrzydłem czartystów w Anglii współpracując z ich organem „The Northern Star”, byli w ścisłej łączności z przebywającymi w Belgii demokratami, emigrantami różnych narodowości, zorganizowanymi w Międzynarodowym Towarzystwie Demokratycznym (1847). Marks pełnił w nim funkcję wiceprezesa. Z Polaków znaczny wpływ wywierał na kierunek pracy Towarzystwa Joachim Lelewel i Ojciec Lubliner. Sprawa polska była też niejednokrotnie tematem obrad i przedmiotem publicznych demonstracji na posiedzeniach Towarzystwa zwłaszcza po rewolucji lutowej w 1848 roku na ziemiach polskich.

Wiosną 1847 roku zaszła poważna zmiana w poglądach londyńskich kierowników Związku Sprawiedliwych. Upadły w nim wpływy Weitlinga i jego adherentów, którzy tumanili członków organizacji w Anglii, we Francji i w Szwajcarii ewangelicznym komunizmem, lub w najlepszym razie niedoskonałym, sformułowaniami francuskiego komunizmu równościowego (egalitaryzmu). Najwcześniej otrzaskał się z tego komplet londyński Związek Sprawiedliwych. Wiosną 1847 roku jego wystannik Moll odwiedził Marksa w Brukseli i Engelsa w Paryżu z prośbą o wstąpienie do Związku z tym, że będą oni mogli rozwinąć własne zasady komunistycz-

W NUMERZE

między innymi:

- R. Kaczmarek — U narodzin Święta Wolności
- L. Sobierajski — Z takich był Pstrowski
- W. Jażdżyński — Młodości...
- H. Bitner — Łódź w r. 1905
- A. Kamińska — List z Łodzi
- H. Brodowska — Życie Ireny Kosmowskiej
- W. Brzeska — Opowieść o „kuczymuni”
- L. Gomolicki — Lud, obrońcy ludu i „ludomani”
- E. Kapijew — Finał
- S. Ignar — Polityka w gminie
- W. Błachut — Posłowie chłopscy przed stu laty



I. Szary — „Bruksel — ośrodek proletariatus”

ne w specjalnym manifestie. Marks i Engels przyjęli zaproszenie. Marks u „orzył w Brukseli gminę Związku, Engels nadawał z dr. Ewerbeckiem, gorącym sympatykiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, kierunek gminom paryskim. W lecie 1847 roku odbył się w Londynie pierwszy kongres Związku, na którym przeprowadzono jego reorganizację, powołano Komitet Centralny, okręgi gminy i od tego czasu Związek Sprawiedliwych przeobraził się w Związek Komunistów dążących do obalenia burżuazji, panowania proletariatus, zniesienia starego społeczeństwa burżuazyjnego opartego na przeciwieństwach klasowych i do stworzenia nowego społeczeństwa bez klas i własności prywatnej. Drugi kongres odbył się w Londynie między 30 listopada a 8 grudnia tego roku; zatwierdził on statut organizacji oraz upoważnił Marks i Engelsa, po jednomyślnym przyjęciu ich tez komunistycznych, do opracowania i opublikowania programu teoretycznego i praktycznego Partii w formie manifestu. „Na parę tygodni przed rewolucją lutową — pisał Engels — Manifest został przesłany do Londynu do druku. Od tego czasu odbył on podróż dookoła świata; został przetłumaczony niemal na wszystkie języki i dziś jeszcze służy w najróżniejszych krajach jako nie przewrotna ruchu proletariackiego”.

Po wybuchu rewolucji 1848 roku kierownictwo Związku Komunistów przeszło w ręce Marksa, którego wydały władze brukselskie do Francji 4 marca tego roku. W Paryżu zebrał się członkowie nowego Komitetu Centralnego Związku Marks, Schapper Karol, H. Bauer, F. Engels, J. Moll, W. Wolff i podjęli trudną pracę przygotowania proletariatus niemieckiego do czynnego wystąpienia w rewolucji jako klasy uświadomionej. Temu celowi miał służyć założony przez Marksa i Engelsa Niemiecki Klub Komunistów w Paryżu, utrzymujący łączność z klubami rewolucyjnymi różnych narodów.

Tymczasem w świat biegły i podbiły stopniowo umysły i serca proletariatus słowa Manifestu Komunistycznego. Wśród wielu podpisów, które stwierdzały ich prawdziwość i umacniały w reszcy robotniczej jej przyszłe zwycięstwo nad feudalami i burżuazją, znalazły się także polskie, położone ręką wygnańców emigrantów 1831 roku. Wśród tych podpisów miał być także podpis Lelewela — człowieka, który przeszedł ciekawą wędrówkę organizacyjną i ideologiczną: od Komitetu Narodowego Polskiego przez Młodą Polskę, Zjednoczenie do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i na starość zrywał z zaprawionymi mistycyzmem i przesadnym chrześcijaństwem koncepcjami Mazziniego, stając na gruncie komunistycznego ruchu robotniczego jako tej nowej sły, od której zależeć będzie oblicze społeczno-polityczne i duchowe świata.



Karol Marks

FRAGMENTY Z „MANIFESTU KOMUNISTYCZNEGO”

„Historia wszelkiego społeczeństwa do-
tychczasowego jest historią walk klasowych.
Wolny i niewolnik, patrycjusz i plebejusz,
pan feudalny i chłop — poddany, majster ce-
chowy i czeladnik, krótko mówiąc, ciemnie-
ciele i ucłemieżeni, pozostawali w stałym do-
siebie przeciwieństwie, prowadzili nieustan-
ną, to ukrytą, to jawną walkę — walkę, któ-
ra za każdym razem kończyła się rewolu-
cyjnym przekształceniem całego społeczeń-
stwa lub też wspólną zagładą walczących
klas”.

„Nowoczesna władza państwowa jest je-
dynie komitetem zarządzającym wspólnymi
interesami całej klasy burżuazyjnej. Burżu-
azja odegrała w historii rolę w najwyższym
stopniu rewolucyjną. Burżuazja tam, gdzie
doszła do władzy zburzyła wszystkie feudal-
ne, patriarchalne, idylliczne stosunki, pozry-
wała bezlitośnie wielorakie węzły feudalne,
które przywiązywały człowieka do jego „na-
turalnego zwierzchnika” i nie pozostawiła
między ludźmi żadnego innego węzła prócz
nagłego interesu, prócz wyzutej z wszelkiego
sentymentu „zapłaty za gotówkę”.

„Burżuazja nie może istnieć bez nieustan-
nego rewolucjonizowania narzędzi produkcji,
a więc stosunków produkcji, a więc cało-
kształtu stosunków społecznych. Natomiast
pierwszym warunkiem istnienia wszystkich
dawniejszych klas przemysłowych było za-
chowanie bez zmian starego sposobu pro-
dukcji. Ciągły przewrót w produkcji, bez-
ustanne wstrząsanie wszystkimi stosunkami
społecznymi, włączna niepewność i wieczny
ruch — odróżniają epokę burżuazji od wszy-
stkich innych”.

„Burżuazja podporządkowała więc pano-
waniu miasta. Stworzyła olbrzymie miasta,
zwiększyła w wysokim stopniu liczbę ludno-
ści miejskiej w przeciwieństwie do wiejskiej
i wyrwała w ten sposób znaczną część lud-
ności z idyllicznego życia wiejskiego. Podobnie
jak wieś od miasta, uzależnia ona kraje bar-
barzyńskie i półbarbarzyńskie od krajów cy-
wilizowanych, narody chłopskie od narodów
burżuazyjnych. Wschód od Zachodu. Burżu-
azja znosi coraz bardziej rozdrobnienie śro-
dków produkcji, posiadania i ludności. Sku-
piła ona ludność, scentralizowała środki pro-
dukcji i skoncentrowała własność w niewie-
lu rękach. Nieuniknionym tego następstwem
była centralizacja polityczna. W ciągu swego
stuletniego panowania klasowego burżu-
azja stworzyła siły wytwórcze bardziej ma-
sowe i kolosalne niż wszystkie poprzednie
pokolenia razem”.

„Burżuazyjne stosunki produkcji i komu-
nikacji, burżuazyjne stosunki własności, no-
woczesne społeczeństwo burżuazyjne, które
wyczarowało tak potężne środki produkcji i
komunikacji, podobne jest do czarnoksiężni-
ka, który nie może już opanować wywoła-
nych przez się potęg podziemnych. Od dzie-
sięcioleci dzieje przemysłu i handlu są tylko
działaniami nowoczesnych sił wytwórczych
przeciw stosunkom własności, które są wa-
runkami istnienia burżuazji i jej panowania.
Dość wymienić kryzysy handlowe, które po-
nawiają się periodycznie, coraz groźniej sta-
wiają pod znakiem zapytania istnienie całego
społeczeństwa burżuazyjnego... Owe, z
którego pomocą burżuazja powalała feuda-
lizm, zwraca się teraz przeciw samej burżu-
azji. Ale burżuazja wykuła nie tylko oręż,
który jej nieśie zagładę, stworzyła także lu-
dzi, którzy tym orężem pokierują — nowo-
czesnych robotników — proletariatus”.

„W tej samej mierze, w jakiej rozwija się
burżuazja to jest kapitał, rozwija się prole-
tariat, klasa nowoczesnych robotników, któ-
rzy dopóty tylko żyją, dopóki znajdują pracę,
dopóki praca pomnaża kapitał. Ci robotnicy
zmuszani sprzedawać się od sztuki, są towa-
rem jak wszelki inny artykuł handlu, to też
na równi z innymi towarami podlegają wszel-
kim zmianom konkurencji, wszelkim
wahaniom rynku”.

„Proletariat przebywa różne stopnie roz-
woju. Jego walka z burżuazją rozpoczyna
się wraz z jego istnieniem”.

„W ogóle starcia w łonie starego spo-
łeczeństwa sprzyjają w rozmaity sposób roz-
wojowi proletariatu. Burżuazja znajduje się
w ciągłej walce: z początku przeciwko ary-
stokracji, później częściej samej burżuazji,
których interesy wpadają w sprzeczność z
postępem przemysłu; stale — przeciw bur-
żuazji wszystkich innych krajów. We wszy-
stkich tych walkach burżuazja zmuszona jest
odwoływać się do proletariatu, uciekać się
do jego pomocy i wciągać go w ten sposób
do ruchu politycznego. Sama zatem przeka-
zuje proletariatu pierwiastki własnego
wykształcenia, to jest broń przeciw sobie sa-
mej... Z pośród wszystkich klas, które są
dziś przeciwnymi burżuazji, jedynie prole-
tariat jest klasą rzeczywiście rewolucyjną.
Pozostałe klasy upadają i giną wraz z roz-
wojem wielkiego przemysłu, proletariat jest
tego przemysłu nieodłącznym wytworem.
Stany średnie: drobny przemysłowiec, drob-
ny kupiec, rzemieślnik, chłop, wszystkie one
zwalczają burżuazję po to, by uchronić od
zagłady swoje istnienie jako stanów śred-
nich. Są one zatem nie rewolucyjne lecz
konserwatywne. Więcej nawet, są reakcyj-
ne, usiłują obrócić wstecz koło historii. O ile
są rewolucyjne, to tylko w obliczu oczekują-
cego je przejścia do szeregów proletariatu,
to bronią nie swych obecnych, lecz swoich
przyszłych interesów, porzucają własny
punkt widzenia, aby przyjąć punkt widzenia
proletariatu”.

„Wszystkie dawne klasy, które zdobyły
władzę, starały się zabezpieczyć uzyskane
już przez się stanowisko życiowe przez pod-
porządkowanie całego społeczeństwa warun-
kom swego bogactwa. Proletariusze mogą
opanować społeczne siły wytwórcze tylko zo-
stając swoją własną dotychczasowy sposób przy-
swajania, a przez to samo i cały dotychcza-
sowy sposób przywłaszczenia. Proletariusze nie
mają nie swojego do zabezpieczenia, muszą
natomiast zburzyć wszystko, co dotychczas
zabezpieczało i ochraniało własność prywatną.
Wszystkie ruchy dotychczasowe były ruchami
mniejszości lub w interesie mniejszości. Ruch
proletariacki jest samodzielnym ruchem ol-
brzymiej większości w interesie olbrzymiej
większości. Proletariat, najniższa warstwa
społeczeństwa obecnego, nie może się pod-
nieść, nie może się wyprostować, nie wysa-
dzając w powietrze całej nadbudowy warstw
stanowiących oficjalne społeczeństwo. Acz-
kolwiek nie w treści, to jednak w swej for-
mie walka proletariatu przeciw burżuazji
jest przede wszystkim walką narodową. Pro-
letariat każdego poszczególnego kraju musi,
rzecz naturalna, rozprawić się przede wszy-
stkim ze swoją własną burżuazją”.

„Postęp przemysłu, którego burżuazja jest
bezwolnym i wiernym nosicielem, stawia na
miejscu izolacji robotników wskutek konku-
rencji — ich rewolucyjne zespolenie za po-
mocą Stowarzyszenia. Wraz z rozwojem
wielkiego przemysłu usuwa się przeto z pod-
nóg burżuazji sama podstawa, na której wy-
tworzyła ona i przywłaszcza sobie produkty.
Wytwarza ona przede wszystkim własnych
swoich grabarzy. Jej zagłada i zwycięstwo
proletariatu są jednakowo nieuniknione”.

„Komunisty tym tylko różnią się od po-
zołstałych partii proletariackich, że z jednej
strony, w walkach toczonych przez proleta-
riatus różnych narodów podnoszą i wysuwa-
ją na czoło wspólne, niezależne od narodo-
wości, interesy całego proletariatu, z dru-
giej zaś strony tym — że na rozmaitych
szczeblach rozwoju, przez które przechodzi
walka pomiędzy proletariatem a burżuazją,
reprezentują stale interesy ruchu jako cało-
ści. W praktyce więc komunisty są najbar-
dziej zdecydowaną, wciąż porywającą na-
przód częścią partii robotniczych wszystkich
krajów; w teorii wyprzedzają oni pozostałą
masę proletariatu zrozumieniem warunków,
przebiegu i ogólnych wyników ruchu prole-
tariackiego. Najbliższy cel komunistów jest
ten sam, co wszystkich pozostałych partii
proletariackich: ukształtowanie proletariatu
w klasę, obalenie panowania burżuazji, zo-
dobywanie władzy politycznej przez proletariat”.

„Zarzucono jeszcze komunistom, jakoby
chcieli znieść ojczyznę i narodowość. Robo-
tnicy nie mają ojczyzny. Nie można im ode-
brać tego, czego nie mają. Wobec tego, że
proletariat musi przede wszystkim zdobyć
sobie władzę polityczną, podnieść się do sta-
nowiska klasy narodowej, ukonstytuować
się jako naród — jest sam jeszcze narodowy,
aczkolwiek bynajmniej nie w znaczeniu bur-
żuazyjnym”.

„W tym samym stopniu w jakim zniesiony
zostanie wyzysk człowieka przez człowieka,
zniesiony będzie także wyzysk jednego na-
rodu przez drugi. Wraz z przeciwieństwem
klas wewnątrz narodu znika wzajemna wro-
gość narodów”.

„Proletariat zużyje swoje panowanie polity-
czne na to, by krok za krokiem wyrwać z
rąk burżuazji cały kapitał, by scentralizować
wszystkie narzędzia produkcji w ręku Pań-
stwa, to jest w ręku zorganizowanego jako
klasa panująca proletariatu, i by możliwie
szybko zwiększyć masę sił wytwórczych.
Początkowo może się to oczywiście doko-
nać tylko za pomocą despotycznych wtarg-
nięć w prawo własności i w burżuazyjne sto-
sunki produkcji, a więc zapomocą zarządzeń,
które ekonomicznie wydają się niedostatecz-
ne i nieuzasadnione, ale które w przebiegu
ruchu przerastają same siebie i są nieuni-
knione jako środki przewrotu w całym spo-
sobie produkcji. Zarządzenia te będą oczy-
wiście w różnych krajach odpowiednio róż-
ne”.

Skoro w biegu rozwoju zanikną różnice
klasowe i cała produkcja zostanie skupiona
w rękach zrzeszonych jednostek, władza pu-
bliczna utraci swój charakter polityczny.
Władza polityczna, we właściwym tego sło-
wa znaczeniu, jest zorganizowana przemocą
jednej klasy celem ucisku innych. Jeżeli pro-
letariat siłą rzeczy jednoczy się w walce z
burżuazją w klasę, staje się poprzez rewolu-
cję klasą panującą i jako klasa panująca, zno-
si przemocą dawne stosunki produkcji, to
znosi wraz z tymi stosunkami produkcję wa-
runki istnienia przeciwieństw klasowych,
znosi wogóle klasy i tym samym swoje wła-
sne panowanie jako klasy.

Miejsce dawnego społeczeństwa burżu-
azyjnego z jego klasami i przeciwieństwami
klasowymi zajmie zrzeszenie, w którym swo-
bodny rozwój każdej jednostki jest warun-
kiem swobodnego rozwoju wszystkich”.

Roman Kaczmarek

U narodzin Święta Wolności

Dziś, gdy wszyscy ludzie zatrudnieni, ra-
mie przy ramieniu chłop z robotnikiem i in-
teligentem radośnie manifestują majowe
święto robotnicze; gdy swobodnie i dumnie
powiewają czerwone sztandary na bezmala
całym globie ziemskim głosząc zbratanie się
ludów i rządy człowieka pracy, nie od rze-
czy będzie przypomnieć narodziny 1 Maja.

Kiedy szerokie kręgi pracownicze zrozu-
miały potrzebę klasowej organizacji pod
egidą socjalizmu, nadszedł czas zwołania ro-
botniczego kongresu socjalistycznego w Pa-
ryżu w dniach od 14 do 21 lipca 1889 r.

W tym czasie odbywała się w stolicy Fran-
cji wystawa dzieł sztuki i przemysłu, równo-
cześnie robotnicy postanowili zjechać się na
pierwszy kongres międzynarodowy. Odezwa
zapraszająca na ten zjazd, między innymi
stwierdzała: „kapitałiści zapraszają bogatych
i silnych tego świata, żeby podziwiali wytwó-
ry robotników, którzy pośród tak olbrzymie-
go wzrostu bogactw skazani są na nędzę.
My socjaliści — robotnicy, dążymy do oswo-
bolenia pracy, do zniesienia niewoli najmu,
do ustanowienia takiego porządku, w którym
wszyscy pracujący bez różnicy płci, wyzna-
nia i narodowości, korzystaliby z bogactw
przez się wytworzonych. Zwołujemy ten zjazd
dla utrwalenia węzłów braterstwa, które
wzmocnią robotników w ich walce z wyzys-
kiem i przyspieszą zaprowadzenie nowego
ładu. Robotnicy wszystkich krajów łączcie
się”.

Obrodzili w Paryżu przedstawiciele 20
narodów. Polaków reprezentowało 4 delega-
tów, a między nimi był murarz z Warszawy,
Anielewski. Tutaj zastanawiano się w jaki
sposób robotnicy będą mogli wyzwolić się
z ucisku, poniżenia i nędzy, w które wtrącił
ich ucisk kapitalistyczny. Przekonano się
wówczas, że „wyzwolenie pracy i ludzkości
urzeczywistnić się może tylko drogą między-
narodowej akcji proletariatu, w partię kla-
sową zorganizowanego, dążącego do uchwy-
cenia władzy politycznej dla wywłaszczenia
warstwy kapitalistycznej oraz wyłączenia
środków produkcji”. Zajmowano się na kon-
gresie międzynarodowym prawodawstwem
robotczym; prawym ustanowieniem dnia
robotczego najwyższe do 8 godzin dla doro-
słych; proklamowano walkę o zakaza-
nie pracy dla dzieci poniżej lat 14, a
dla młodzieży od 14 do 18 lat zmniej-
szenie dnia do 6 godzin dla obojga płci; o za-
bronienie pracy kobiet w tych gałęziach prze-
mysłu, które szczególnie szkodliwy wpływ wy-
wierają na organizm kobiety; o zniesienie
nocnej pracy dla kobiet i robotników do lat
18; o nieprzerwaną odpocynkę, wynoszącą
najmniej 36 godzin w tygodniu dla wszystkich
robotników, i o wiele, wiele innych.

Wśród tych przełecznych uchwał i po-
stanowień ogłoszono manifestację między-
narodową 1 maja 1890 roku.

„Będzie urządzona — (czytamy w posta-
nowieniach kongresu) — wielka między-
narodowa manifestacja w dniu oznaczonym dła-
go, ażeby we wszystkich krajach i miastach
jednocześnie robotnicy wezwali władze pu-
bliczne do wprowadzenia prawa ograniczają-
cego liczbę godzin pracy do 8 godzin i do
wykonania innych postanowień kongresu pa-
ryskiego”.

Zważywszy, że podobna manifestacja jest
już naznaczona na 1 maja 1890 r. przez ame-
rykański Związek pracy na jego kongresie,
odbył się we wrześniu 1888 r. w St. Louis,
termin ten jest przyjęty i dla manifestacji
międzynarodowej. Robotnicy wszystkich kra-
jów mają wykonać tę manifestację w warun-
kach, jakie im narzucają poszczególne po-
łożenia ich krajów.

W oznaczonym roku 1890 w dzień powsze-
chnego międzynarodowego święta pracy robo-
tnicy wielu krajów porzucili warsztaty, ma-
szyny stanęły, fabryki umilkły; rozpoczęły
się wówczas demonstracyjne uroczystości
pierwszomajowe.

W różnych krajach różny był przebieg ma-
nifestacji i pochodów. W najbardziej despo-
tycznej Austrii uciśniony lud gorliwie święcił
dzień 1 maja. 100.000 robotników opuściło
pracę, a w ogromnym pochodzie maszerowało
w samym Wiedniu 50.000 ludzi.

Setki tysięcy ludzi nie stawili się do pra-
cy we Francji, Hiszpanii i we Włoszech.
W niektórych miastach ani jeden robotnik nie
pojawił się w fabrykach i warsztatach.
W Paryżu strajkowało około pół miliona ludzi,
pracujących, lecz manifestację nie udali się,
natomiast w Marsylii przeciągał ulicami kil-
kudziesięciotysięczny pochód manifestantów.
W Londynie ewierł miliona robotników do-
magało się spełnienia żądań, wypisanych na
swoich sztandarach. W Niemczech pierwsze
święto majowe tylko częściowo się udało.
W Hamburgu 70.000 ludzi wzięło udział w
święcie robotniczym. Obchody pierwszoma-
jowe odbyły się także w Ameryce i Aus-
tralii.

Dzień 1 maja był wspaniałym i potężnym
obchodem klasy pracy; w niewiele przypad-
kach porządek i spokój zakłócił gorliwie in-
terwencje policji lub wojska.

Po raz pierwszy zapracowany i zgębiony
lud polczył swą wielkość, poznał swą siłę,
zrozumiał swe znaczenie, utwierdził, że sam
może być panem swego losu, że poprawy

własnego bytu sam po sobie może się spo-
dziewać i że sam zniesie wszelki wyzysk
i wszelki ucisk.

Od pierwszego święta majowego kapitaliści
przerazeni zorganizowaną siłą robotników,
zaczęli czynić powolne ustępstwa na rzecz
swoich nowoczesnych niewolników.

Święto pierwszego maja stało się potężnym
atutem w rękach mas pracujących w walce
z klanem posiadaczy.

Rok 1890 wykazał, że święto 1 maja może
zgrupować setki tysięcy zorganizowanych ro-
botników, że dzień ten jest najdroższym
dniem w życiu człowieka pracy, że hasło rzu-
cone na kongresie paryskim stało się rzeczy-
wistością. Drugi kongres międzynarodowy
w Brukseli 1891 r. entuzjastycznie potwier-
dził; ustalił uchwałę pierwszego, że ta uro-
czystość robotnicza — to święto pokoju, któ-
re winno stać się protestem robotników prze-
ciw bratobójczym wojnom, przeciw ogrom-
nym ciężarom, nakładanym na społeczeństwo,
celem utrzymania milionowych wojsk w okre-
sie pokoju.

Polski świat pracy nie pozostał w tyl-
w zadokumentowaniu swej solidarności z mi-
ędzynarodowym ruchem robotniczym. Na zie-
miach polskich, we wszystkich trzech zabo-
rach, przylączyło się tłumnie do wspólnej
akcji obchodzenia uroczystości święta robo-
tniczego — 1 maja. Uroczystości te odbywały
później w ciągu niemal pół wieku olbrzymią
rolę, cementując całą klasę robotniczą we
wspólnym bloku walki z kapitalizmem. De-
monstracje majowe zdobyły sobie w Polsce
od razu charakter gromadny, wyprzedzając
w tym wypadku cały szereg krajów o rozwi-
niętym ruchu robotniczym. Zdobyczy także
w całym świecie rozgłos najkrwawiej okupy-
wanych uroczystości majowych.

W roku 1890 święcił w szczególności sposób po-
raz pierwszy polski lud uroczystość majową.
Biała, Lwów i Warszawa — są symbolami
rodzącego się święta robotników.

W miasteczku Białej w tym pierwszym ro-
ku majowym strzelano do świętujących.

We Lwowie w tym dniu ogłoszono powszech-
ne bezrobocie i zorganizowano olbrzymie
zgrupowanie robotnicze.

Warszawa mimo przełecznych aresztowań
i pogroźby władzy demonstrowała swą soli-
darność w międzynarodowym święcie; mimo
represji strajkowało w mieście około 8.000
robotników.

W polskiej metropolii robotniczej — w Ło-
dź — pierwsze manifestacje majowe nie
były obchodzone, dopiero rok 1891 zapo-
czątkował stały rozwój święta pracy, ob-
chodzonego tu, w tym wielkim środowisku
przemysłowym, masowo i demonstracyjnie.
To pierwsze wystąpienie łódzkiego proletari-
atu nie miało charakteru ogólnego, ogarnęło
jedynie robotników fabryki Poznańskiego,
a podłożem tego było domaganie się pracow-
ników gorzej wynagradzanych o zrównanie
ich z towarzyszami więcej zarabiającymi.

Dopiero rok następny, 1892, zwrócił opinię
kraju i świata, robotników i kapitalistów na
Łódź w dniu 1 maja, kiedy to rozegrały się
krwawe wypadki, kiedy klasa robotnicza roz-
poczęła walkę ofensywną o polepszenie wa-
runków bytu. Rozzucona już przed majo-
wym świętem w Warszawie, Łodzi, Żyrard-
owie, Zgierzu i w innych ośrodkach prze-
mysłowych proklamacja socjalistyczna domaga-
ła się dla robotników wyższej płacy, osmio-
godzinnego dnia pracy, wolności prasy i sto-
warzyszeń, politycznej swobody, polskich
szkół i sądów. „Chcemy ludźmi być i po ludz-
ku żyć” — oto główne hasło święta majowe
go 1892 r.

W dniu 1 maja zrodził się „bunt łódzki” —
wypadki potoczyły się jak lawina — oddaj-
my głos współczesnej relacji, notującej na
gorąco zdarzenia:

„Z Łodzi donoszą wieści straszne, ponure...
Od 1 maja począwszy, donoszą nam, w mie-
ście i okolicy rozruchy, kompletna rewolu-
cja i plynie krew robotnicza. Wszystkie fa-
bryki stanęły, strejkują kilkadziesiąt tysięcy
robotników. Sprowadzono wielkie siły wojs-
kowe; zebrania tłumów po ulicach siła zbroj-
na rozprasza, aresztowano tysiące robotni-
ków, przyszło do krwawych walk; gdy ro-
botnicy uderzyli na wojsko, aby odbić aresz-
towanych, wojsko strzelało w zbite masy wielo-
krotnie. Mnóstwo zabitych i rannych, po
ulicach leżą trupy...”

Oto narodziny święta pierwszo-majowego.
Wiś polska ma także swój udział w po-
czątkach święta ludu pracy. Specyficzne wa-
runki tak odmienne od stosunków miejskich,
społeczne, gospodarcze, polityczne i kultural-
ne, pozostawiły chłopu polskiego zdala od ma-
nifestacji majowych. Mimo tak niesprzyja-
jących okoliczności już u kolebkę 1 maja
w Polsce lud wiejski bierze w nim czynny
udział. W zorganizowanym w r. 1892 w Kra-
kowie pierwszym obchodzie majowym bierze
udział spora liczba chłopów, przybyłych na
tę uroczystość z okolicznych ws; podkrakow-
skich.

Uchwalenie i zaprowadzenie uroczystości
pierwszomajowej to epokowe zdarzenie w dzie-
jach ludzkości. Jak zburzenie Bastylii w r.
1789 było zapoczątkowaniem ery XIX stule-
cia, stulecia walki między feudalizmem a bur-
żuazją; tak ogłoszenie międzynarodowego
święta robotniczego w równo sto lat potem,
stało się początkiem XX wieku, wieku wal-
ki klas i wyzwolenia pracującego ludu.

Leonard Sobierajski

Z TAKICH BYŁ PSTROWSKI

ODŚLANIAŁ SIĘ LOS CHŁOPSKO-ROBOTNICZY

W drugiej połowie międzywojennego dwudziestolecia warstwa chłopska i robotnicza w Polsce przesuwawa się coraz bardziej ku krawędzi, poza którą nikła już jakakolwiek szansa na utrzymanie się w pozycji gwarantującej minimalne choćby warunki egzystencji. Przed ośmiomilionową masą drobnych i bezrolnych chłopów zamykają się możliwości, choć w niedostatecznym stopniu, do tego drogi odpływu, nie będzie już w tym okresie mowy o emigracji zarobkowej, nie będzie już mowy o przechodzeniu do miast, do przemysłu. Zaczyna się proces odwrotny. Sto siedemdziesiąt tysięcy polskich wychodźców zmusza Francja w latach 1931—35 do powrotu do kraju, a przecież i w tym samym czasie rozpoczynają się ostre redukcje w naszym przemyśle, w samym tylko górnictwie liczba zatrudnionych spada w latach 1929—33 o 57 tysięcy. Prócz zagrożonych bezrobociem robotników, prócz ogromnej masy biedniackiej wsi, na równi pochyłej znajdują się i chłopci średniorolni wskutek przedłużenia hipotecznego, które wyzuwa ich z ziemi i sprowadza do roli „pańszczyźnianych wyrobników w niewoli kapitału finansowego”. Ten proces schodzenia dołowych mas narodu na coraz niższy stopień bytowania zostanie uchwycony przez polski świat naukowy. Socjologowie tej miary, co Ludwik Krzywicki, Zygmunt Mysłakowski, Feliks Gross, Józef Chalasiński pokażą w swych wielkich akcjach ankietowych, jak w systemie rozkładającego się kapitalizmu wygląda los społeczny dołowych warstw: **chłopów i robotników**.

Z tysięcy wypowiedzi chłopsko-robotniczych wyłania się wówczas sprawa, jak nie do utrzymania był ustrój, w którym człowiek pracy tracił wszelkie gwarancje na zaspokojenie swych ludzkich potrzeb. Ukazany w losach jednostkowych system uderzał w samą ideę pracy, jako narzędzia do opanowania rzeczywistości materialnej.

Samowiedzę tego właśnie faktu wyrażają już sami chłopcy i robotnicy, spychani na dno nędzy, uświadomiamy sobie, że los jednostkowy jest określony panującym systemem społeczno-gospodarczym. Ten główny moment samowiedzy społecznej będziemy mogli obserwować w wielkich ankietach wspom-



Wincenty Pstrowski z żoną.

nianych badaczy. Piszący chłopcy i robotnicy odkrywają nam, jakby cztery etapy historii ich degradacji społecznej i ekonomicznej. I tak w „Pamiętnikach Chłopów” i „Pamiętnikach Emigrantów” można wydzielić dwie grupy. Dla pierwszej momentem przełomowym jest koniec XIX w., dla drugiej—wojna światowa, dla trzeciej koniec pierwszego dziesięciolecia (1929—30) lat międzywojennych („Pamiętniki Chłopów”, „Robotnicy piszą”), dla czwartej wreszcie — ostatnie lata „sprzed września” 1939 r. („Młode pokolenie chłopów”).

„JESZCZE BÓG POMAGAŁ”

Z tych wszystkich czterech etapów najpomyślniejszy był jeszcze pierwszy. To jest ów okres wielkiej emigracji za ocean, kiedy na przełomie wieków Stany Zjednoczone przewyższają potencjałem gospodarczym Anglię, kiedy Niemcy w produkcji stali prześcigają W. Brytanię. Kiedy na wsi galicyjskiej wyłania się jeszcze Magrysiom, że „nawet w najgorszych warunkach urodzony człowiek może stać się pożytecznym”. I komornicy, małorolni, folwarczni z za oceanu ślą w tym czasie na galicyjską wieś 100 milionów koron rocznie. Za modelowy zaiste życiorys można tu przyjąć dzieje pamiętnikarza Nr 1 („Pamiętniki Chłopów”). Autor pamiętnika przychodzi na świat w r. 1872 w poznańskiej wsi. Na rodzinnej parceli zostanie brat ojca, on zaś ze spłatą 20 talarów przejdzie na pozycję robotnika folwarcznego. Etapy typowe: już od ósmego roku kilkuletnia służba u

krewnych i u obcych gospodarzy, przechodzenie przez wszystkie stopnie pracy w gospodarstwie. W szesnastym roku życia wyjazd do Niemiec na roboty rolne, przez kilka lat będzie pracował po niemieckich folwarkach w Nadrenii i Holszteinie, później przerzuci się do pracy w kopalni. Są to lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia. Potencjał gospodarczy Niemiec bardzo szybko wzrasta, przemysł niemiecki potrzebuje wiele rąk do pracy — bezrolni chłopcy z Poznańskiego, ba, z Kongresówki i Galicji masowo wyjeżdżają do Westfalii. Autor pamiętnika po awansie na górnik — rebaseca pisze: „Była to robota ciężka, wymagała nie tylko sił fizycznych, ale i dużej wytrwałości, wielkiej umiejętności w budowaniu drzewem, budowy kolejek i t. d. Praca była akordowa i zarabiałem na szczytę 8-godzinną od 5 do 6,50 marki. Był to zarobek dobry, pracowałem jako rebasec i dużo grosza zaoszczędziłem. Zaoszczędziwszy sobie na obczyźnie z 700 marek postanowiłem wrócić do Polski, co też w 1901 roku uczyniłem”. Autor po powrocie do kraju może się „przyznać” do gospodarstwa o 55 morgach magdeburskich.

Ma przytem poczucie własnej zasługi w osiągnięciu tej pozycji — „A nie byłoby to się stało, gdyby nie zarobione i zaoszczędzone pieniądze, depozyta złożone w Poznaniu w Banku Parcelacyjnym i Spółce Rolniczej Parcelacyjnej”. On jeszcze wierzy, że „tak opatrność Boża memi krokami pokierowała”.

„NIE TAKIE ZŁOTO, JAK SIĘ ŚWIECI”

Inaczej będzie już z następnym pokoleniem. I ono jeszcze rzuca się po świetle, nawet bardziej. Dały do tego asumpt pomysły próby poprzedniego pokolenia i równocześnie pogorszenie się sytuacji społeczno-gospodarczej wsi w kraju.

Dla niego klasyczną biografię stanowi może pamiętnik Nr 3. Ojciec (we wsi nie-szawskiej) dokupił 10 mórg. Zaciągnięty dług zniszczył gospodarstwo, a we wsi? „Pamiętam, że ludzie żyli na przednówku różnym zielskiem, gdy różni agenci zaczęli namawiać do Brazylii, ludziska takimi groźbami wędrowali jak to płaćtwo wędrownie”. Chłopak urywa szkołę na 3 kl., wędruje po szewcach w Służewie, po kowalach, wędruje do Prus, wraca, zawadza o Łódź, ciągnie w głąb Rosji, pracuje w Charkowie, przeżywa rewolucję 1905 r., wyjeżdża do Ameryki. Przerzuca się z pracy do pracy. Ciekawy jest rozmaitych robót, szuka lepszego zarobku: w dokach okrętowych, w rzeźniach chicagowskich, w fabrykach cukierków, w fabrykach wagonów. Ale „prosperity” dla sił najemnych kończy się. Około r. 1910 w lecie zaczęli redukować robotników (w pierwszej partii 3 tysiące, w dwa miesiące później 5 tys.). „I blacharzy poszło sporo precz, wszyscy ze wsi koledzy, nawet tacy, co robili po 5 i 6 lat zostali zwolnieni”. „Więc ta robota jeszcze jest, więc on się pozostaje — powiedział mu dyrektor — jak się skończą tramwaje to i on pójdzie precz. Tak robiłem jeszcze trzy miesiące”. Odtąd nowe prace, znajdujące po nowym zwolnieniu i nowy, coraz niższy zarobek. W r. 1911 „zwolniony na nieograniczony czas” przejechał uciulaną oszczędnością.

W r. 1912 będąc znów bez pracy „a rozpatrzyłem się dosyć dobrze w tutejszych stosunkach, doszedłem do przekonania, że w St. Zjednoczonych nie wszystko złoto co się świeci... postanowiłem wrócić do kraju”. Wrócił — sterany, bez oszczędności, został wioskowym kowalem. Inny emigrant mówi: „Jechałem do Ameryki z myślą o dużym zarobku by móc kupić ziemi parę mórg i postawić budynek... (Były to lata 1908—9). Prace dostałem łatwo w odlewni żelaza... (a później)... o pracę stawało się coraz trudniej... płace robotnikom obcięli do jednego dolara dziennie. Gdy już nie mogłem nic zarobić, nie wiele się namyślając zabrałem się i „hajda” do Polski”.

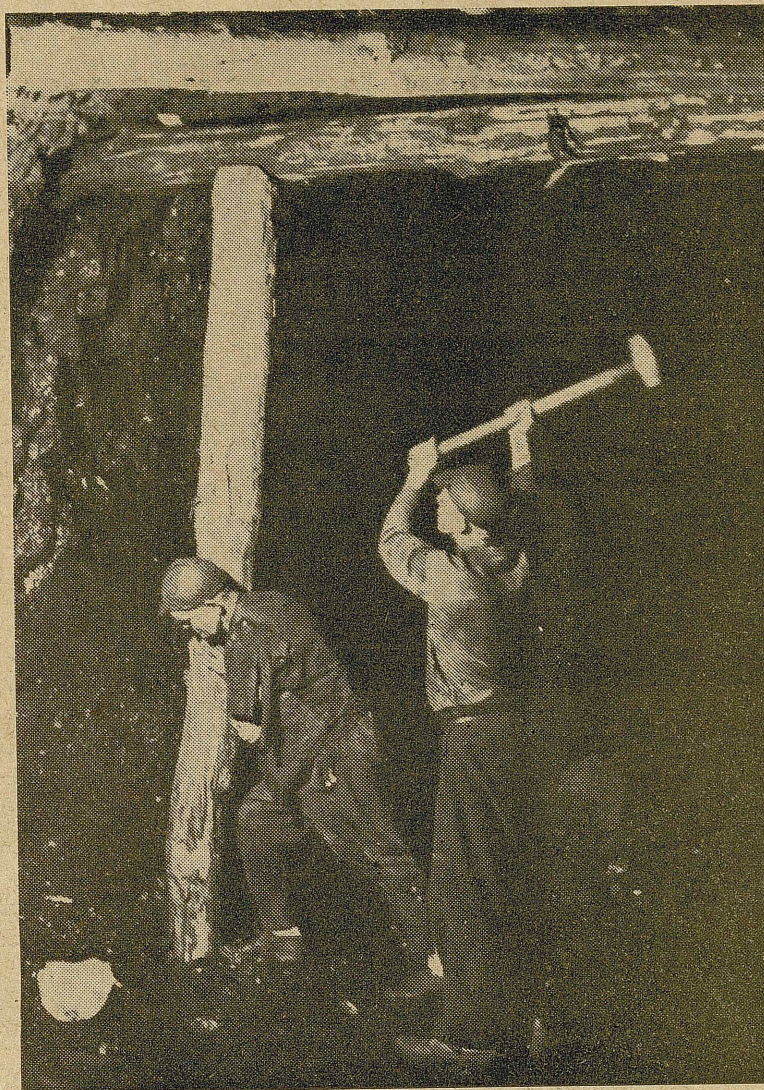
TAKA POLSKA?

„Hajda do Polski” powtórzy niebogacony na robotach w Niemczech M. Czula. Powtórzy o 20 lat młodsze pokolenie, kiedy Polska „wybuchnie”. Taki J. Biedron (z biedniackiej Napiawy) wyjeżdża w 1912 r. do fabryk w Budapeszcie, ma wówczas 16 lat. Po wojnie wraca: prace się rwa; fabryka wozów, zakłady budowlane. W 1930 r. — „oddaje żonę swoją pensję w całosci po to, ażeby ją okrapiała łzami, a mały synek Julian pyta matkę: mamo dlaczego tata tak mało zarabia?” („Robotnicy piszą”).

W tym samym czasie (pamiętnikarz) **metalowiec** notuje: „a z fabryki wyleciałem przy pierwszej redukcji”. A wkrótce potem: „czym więcej o nas bezrobotnych mówią, tym gorzej nam się dzieje, im więcej o zapomogach gadają, tym więcej z głodu umiera, a maszyny stoją — my potrzebujemy a oni topią”.

W tym samym czasie **tokarz** — „dostałem z miejsca wymówienie z fabryki... dyrektor to wszystko razem poskładał, jak strajk i nasze zebrania i zostałem wyrzucony”.

Dla wsi nie ma już emigracji, nie ma już nawet krajowych fabryk. Ostatnie dla bie-



Podbijanie stempli w kopalni węgla.

doty wiejskiej przedpola u schyłku pierwszego dziesięciolecia kończą się na tartaku i rzemiośle. E. Dziedzic („Robotnicy piszą”) „nie mając wyjścia” pracował „za konia w polu” na folwarku, zarabiając 2 zł. na dzień w r. 1928. Potem w Krakowie „ciągnie wózek na Żyda”, wreszcie dostaje się do tartaku w Sancku — 1,20 zł. na 7 godz. (na folwarku płacą wówczas 80 gr. — 1 zł.).

BEZ WYJŚCIA

W czwartym pokoleniu, które można nazwać „wiciowym” (ostatnie lata II Rzpltej) dramat gospodarzy i społeczny osiąga swój szczyt. To pokolenie ze wsi już nie wychodzi. Nie ma dokąd. Nadzieje na pracę, na zaoszczędzenie, na dorobek — zgniecione. Na wsi roi się 8 milionów zbędnych ludzi. Mało tego, odcięcie wsi od miast i świata, jakiego dotąd nie było w trzech poprzednich pokoleniach, wywołuje gwałtowny proces cofania się wsi w technice rolniej, oświacie i świadomości społecznej. W dziesięcioleciu 1929—1939 wieś zmniejszyła nabywanie młocarni 7 razy, pługów konnych 11 razy, siewników 100 razy. 35 proc. gospodarstw nie stosowało w ogóle nawozu. W r. 1924 długi rolnictwa wynosiły pół miliarda zł a w dziesięć lat potem — 5 miliardów zł. Powierzchnia zbóż kwalifikowanych spadała sześciokrotnie (w porów. z 1928). W 1936 milion 200.000 dzieci nie ma się gdzie uczyć. Najmłodsze pokolenie (wiciowe) tworzy zapaloną idealistyczną organizację. Jest ona pięknym owocem poprzednich pokoleń, ale w zarodku toczonym przez robaka „dziejów bez dziejów”. Tylko w tej sytuacji mógł u nas przeszedzieć się „agraryzm”, wznowić separatyzm stanowy, utopia powrotu w słowa „szczytne, wychowywanie „pięknych dusz” bez rzeczywistego terenu dla zrealizowania uzdolnień i pędu młodzieży do lepszej przyszłości wsi i Polski.*).

SKĄD TRADYCJA LUDZI PRACY?

Pokazaliśmy na czterech pokoleniach tragiczny los zmagającej się o byt biedniackiej warstwy chłopskiej, warstwy o najniższej lokacji społecznej. Nasza literatura potrafiła utrwalić w świadomości narodowej model chłopca — dostojnego oracza, na dużej parceli, nie wydobyła natomiast tej całej, szamoczącej się masy: wyrobników wiejskich, robotników folwarcznych, biedoty ciągnącej wszystkimi drogami w kraju i zagranicą do miejsc, gdzie otwierała się jakakolwiek **szansa pracy**, a była to przecież grupa, która **duże wartości wniosła w nasz rozwój cywilizacyjny i w najwyższym stopniu** w stosunku do reszty wsi go **przeżyła**. Po obcych fabrykach, kopalniach poznawała nowe zawody, na folwarkach niemieckich i farmach francuskich uczyła się wysokiej kultury rolnej, od robotników amerykańskich, francuskich czy niemieckich przyswajała sobie **taktykę walki o prawa proletariatu**. Były to zdobywcy, które warstwa ta oddawała krajowi, wpływając na wzmocnienie w nim tęża gospodarczego i przemian społecznych. Największym jednak jej walorem było to, że wykształciła **model człowieka pracy**. Zaczął się on kształtować już na miejscu, we wsi. Wiejski proletariusz, gdy dobijał się o służbę, to wiedział, że musi umieć **zademonstrować swoje rzeczywiste umiejętności**. W związku z tym **wyodrębnia się u niego po-**

jęcie pracy. Z pracą, jako z zadaniem do wykonania będzie wiązał te wszystkie elementy, które decydują o „dobrej robocie”. Wchodzi tu w grę **doskonałość zawodowa**, z nią bowiem wiąże się **szansa zdobycia pracy i zarobku**. Problem **własnej sprawności** jest podstawowym w kształtowaniu się wzoru osobowego wiejskiego biedniaka. To Magryś już (urodz. w r. 1846), jako syn komornicy, posiadającej jedynie krosna, pisał o swym dzieciństwie: „Cała tajemnica naszego powołania leżała w tem, żeśmy **dobrze znali swoje rzemiosło**, pracowaliśmy od rana do nocy i nie piliśmy wódki”. Dobrze znać swoje rzemiosło — to hasło każe mu, pierwszemu ze wsi popańszczyźnianej, uczyć się czytać i pisać. Trzecią wartością wzoru osobowego proletariusza wiejskiego było **rozwglądanie się po świecie**. Pólmorgowy chałupnik musiał dobrze orientować się w tym, co się dzieje w obrębie gminy, powiatu i dalszej nawet okolicy, gdzie są bogatsze gospodarstwa, gdzie znajdują się folwarki, żywo obchodzila go powstająca w okolicy cegielnia czy cementownia. Chciwie też pochłaniał wszelkie wiadomości o świecie, gdzie kopalnie, gdzie huty, jakie odległości od nich go dzielą i które drogi do nich prowadzą. **Geografia gospodarza** stanowiła podstawę jego praktycznej wiedzy. On to do wsi będzie przywoził wieści o dalekich miastach i krajach zamorskich, on będzie wracał uzbrojony w wiedzę fachową, zamiłowanie do ładu i bardziej cywilizowanego życia. Nietrudno odpowiedzieć na pytanie, co wytwarzało dynamikę naszej wsi? — czy patriarchalny gest siewcy i profil oracza czy właśnie ta masa drobnych i bezrolnych z jej ruchliwością i zdolnością przechodzenia do **różnych kręgów pracy**. W trudnych sytuacjach ekonomicznych odkrywały się możliwości twórcze chłopca, jakich właśnie tradycyjny kmięć na parceli okazać nie mógł.

TWÓRCZA PRACA I ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA

Magryś dokonuje cudów w wioskowym warsztacie tkackim; na emigracji pamiętnikarz Nr 1, w kopalni osiągnął pozycję przy tzw. bremzie, „była to dobra robota i byłem samodzielnym, jednakże wymagająca uwagi i dużej odpowiedzialności”. Po latach już w Polsce wygrywa konkurs na opracowanie stosowania kainitu, dzieci kieruje do rzemiosł (stolarstwo, krawiectwo, kucharstwo).

W pokoleniu następnym pamiętnikarz Nr. 3, kiedy przerzuca się w Ameryce z pracy na pracę, czyni to nie tylko dla zarobku. **Ciekawia go nowe, inne roboty**. Nieświadomie wypróbowuje siebie. Sprawdza i osiąga swoje **człowieczeństwo**. Tam, skąd przywędrował był „niczym” w opinii sąsiedzkiej, bez szans awansu na gospodarza, t.j. człowieka o pełnej godności w parafii. Tu poradzi wielu rozmaitym umiejętnościom. W fabryce cukierków uderza go myśl: „nie rozumiem dlaczego nikt w Polsce nie wpadnie na pomysł siał (kukurdyżę) i przyrządzać podobnych łakoci a to całymi wagonami wysyłał w świat”. Takie było jego **robotnicze**. Ten człowiek bierze lekcje angielskiego, placąc 15 dolarów tyg. W parowozowni zawiesił tablicę z blachy, gdzie wypisywał słówka do wkucia i „robiąc przy kowadle” powtarzał je sobie. Wzywa siostry z kraju. W czterech prowadzą mieszkanie, dzieląc między siebie funkcje gospodarze. Porządek, czystość i zadomowienie organizują ci chłopcy z chałup, gdzie kiedyś spali **pospołu z trzodą chlewną**. Wpisuje się do Związku, ubezpiecza na wypadek śmierci i chorób

*) Konstrukcję 4-ch etapów degradacji ekonomicznej i społecznej wsi przejmuję z referatów redakcyjnych J. A. Króla.

(po 10 dolar. tyg.), czyta gazety, książki. A jak dojrzewa społecznie? Kiedyś, gdy był w Łodzi (lata 90-te) „nie mogłem sobie wytłumaczyć — pisał — tych bójek ulicznych, choć później byłem w daleko większych miastach i nic podobnego nie spotkałem”. Były to krwawe manifestacje robotnicze. Później, będąc w Rosji przeżył r. 1905. „Zaczęły się strajki, rozruchy. Uciemiężeni zaczęli podnosić głowy”. Czy ten kapitał doświadczenia społecznego przepadł? Zataił się na pewien czas, aby wybuchnąć tym potężniej. Kiedy w Ameryce ogląda wreszcie redukcję masowe robotników i sam im zaczyna podlegać, rozumie już nieco przyczyny: „Przybliżyły się wybory, więc roboty zaczęły przystawać, bo fabryki nie miały pewności, jaka partia weźmie górę”. Rozdawała się partia republikańska, fabryki obawiając się zwycięstwa demokratów ograniczyły produkcję, ci bowiem mieli w programie „zniesienie cła, czyli wolny handel, przez co z Europy nawieźliby dużo tańszego towaru”. Takie to było robotnicze polskie bandosy, ośmielające się pojąć politykę kapitalizmu amerykańskiego już w 1912 r., kiedy w wiele jeszcze lat później (1919) W. Witos będzie mówił, jako premier o „szlachetnych demokracjach zachodnich” (ze St. Zjednoczonych na czele).

W trzecim pokoleniu chłopów — robotników (lata międzywojenne) odnajdujemy tę samą postawę. Pamiętnikarz — mechanik („Robotnicy piszą”) wyznawał: „z energią zabierałem się do pracy samokształceniowej nad sobą i pogłębianiem wiadomości technicznych, koniecznych do opanowania zawodu według wszelkich wymogów”. „W każdym drgnięciu maszyny widziałem wielki rozmach... Czulem, że chcę pracować a wiedziałem dla kogo, nie dla martwej mechaniki — jak mój majster i pieniądze. — Ja pragnęłam całą mechanikę zaprzęgnąć do roborienia szczytów dla ludzi tu na ziemi”. Redukują go: „System kapitalistyczny wychowuje nas na bezwzględnych jego wrogów”. Wspomniany metalowiec, organizator Związku Zawod. i strajków, „córceczkę, która ma 4 lata i jest b. mądra” stara się wychowywać przede wszystkim „socjalnie”. „Zona moja, Maria, zgadza się ze mną w tym kierunku”. Bezrobotny inny metalowiec ze wsi podkarpackiej nawet jako bezrobotny oświadcza: „Jak wpływa na mnie bezrobocie? Chęć do pracy mam, do samokształcenia również”. Ale nie ma pracy, nie ma przyszłości. „Poznałem, że w obecnym ustroju jestem nieczłowiekiem, jak tylko zwyczajnym przedmiotem, który dotąd powinien żyć, dopóki potrzebny jest fabrykantowi”.

A od wsi w latach 30-tych szedł głos zgodny: „Obięd myśli kłębami mi umysł, że muszę być bezczynny nie mając możności tworzenia lepszej przyszłości... My niedźwiedzi chłopcy, my nie chcemy ziemi, my nie chcemy bogactw, my chcemy pracy i sprawiedliwego podziału owoców jej pomiędzy wszystkich pracujących, dziś, wydziedziczonych, głodujących i poniewieranych”. („Pamiętn. Chłopów”, seria I).

Łatwo na tle rosnącej nędzy w Polsce i ewolucji świadomości społecznej trzech generacji robotniczych (chłopsko — robotniczych) zrozumieć masowe strajki fabryczne i strajki rolne pod koniec II Rzplitej.

Mieliśmy pisać o Wincentym Pstrowskim, chłopie z pochodzenia — robotniku i górniku później. Nie mówiąc o nim opisałyśmy jego losy. Scharakteryzowałyśmy jego osobowość społeczną. Wyznaczyłyśmy model, jak on swym życiem wypełnił. Aby jednak nikt nie miał wątpliwości — oto jego życiorys.

MIEDZY DAWNYMI A NOWYMI LATY

Wincenty Pstrowski przychodzi na świat (1904 r.) w rodzinie chłopskiej, która znajduje się już u dna procesu pauperyzacji. Ojciec jego rozpoczyna swoje samodzielne, po ożenku życie (wieś Desno, powiat Jędrzejowski) z takimi aktywami: chałupa, wybudowana z dużym trudem za pieniądze ze spłat rodzinnych i pół morgi gruntu wniesione jako wiano przez żonę. Przez całe życie będzie „chodził po robotach”, wynajmował się bogatszym gospodarzom i sąsiadom dworowi. Pozostawi sześciuosobową rodzinę, najstarszy syn w chwili śmierci ojca liczy lat osiemnaście, najmłodsze dziecko jeden rok. Wincenty ma cztery lata; z punktu musi dzielić ze starszymi trudy utrzymania domu — rozpoczyna od zbierania kłosek i ściągania do chałupy snopków pszenicy, które z przejeżdżającego dworskiego wozu zrzuca sierocie fernal, dawny znajomy nieboszczyka ojca. Jego praca dała się wymierzyć — zdobył dla rodziny metr pszenicy. W ósmym roku życia pójdzie do służby — wciągnie go pierwszy system wyzysku. To dziecko jeszcze, będzie kilkakrotnie zmieniał miejsce pracy, natrafiając wszędzie na kulać eksploatację, niechronione żadnym prawem. W tej „szkole” nie zdobędzie oczywiście umiejętności czytania i pisania, dowiędzie się natomiast, jak jest los małego, wiejskiego najemity. Jak uciec od tego losu — oto pierwszy dyktament w głowie piętnastoletniego chłopaka. Umie ście, orać, kosić, dokonywać wszelkiego obrządku. Jak ulokować te umiejętności, by praca dawała mu jakieś ludzkie utrzymanie, samodzielny byt?

W „świat” wyciąga go szwagier, który jako robotnik folwarczny pracuje w dużym, nowoczesnym prowadzonym majątku — Kępie, w powiecie miechowskim. Gorąco rekomenduje chłopca, nie jest on jednak zbyt młody, widzi on ordnowanym, ma bowiem porządnie zaszarganą u jasnie wielmożnego pana S. opinię za „bawienie się w delegata robotników rolnych w Jędrzejowski”, no ale można spróbować, chłopak wygląda na sprytnego, powinien nadać się do koni. W ten sposób Wincenty stał się ujeżdżaczem pańskiej stadniny.

Chłopak pali się do roboty, stara się ją jak najlepiej wykonać, chciałby zdobyć uznanie otoczenia, sprostować jednak, że pańskie poklepywanie za ostro przez niego podjętą robotę nie znajduje życzliwego przyjęcia u pozostałych towarzyszy pracy. Są to lata dwudzieste. Do folwarcznych dochodzą słuchy, że na czele rządu stoi chłop Witos i podobno uchwalono ustawę o reformie rolnej, że oni będą mogli zdobyć ziemię. A tymczasem p. S. ma swoją metodę poskramiania „rewolucyjnych mrzonek” — „trzyma mocno w cuglach swoich ludzi”; w pierwszym rzędzie nikt z zewnątrz nie śmie się wtrącać — żadnych Związków, żadnych delegatów i socjalistów nałazących z miasta. W dwudziestym drugim roku sytuacja stawała się groźna, przez kraj przebiegały fale strajków folwarcznych. Pan

S. przy pomocy zgrai milicjantów i grózb i prób ledwo zdołał utrzymać ludzi przy pracy. Musiał jednak pójść na ustępstwo: wszyscy fernali w Kępie zapisali się na członków Związku Zawodowego Robotników Rolnych. Duży w tym udział ma szwagier Wincentego. Sam Pstrowski zaczyna powoli uświadamiać sobie, że stoi wobec nowej, bardziej tylko skomplikowanej formy wyzysku.

Lekcję otrzymuje od samego dziedzica. Gdy staje w obronie delegata związkowego przed napaścią dworskich oficjalistów, naraża się na „pański gniew”. Usłyszy słowa: „Lepiej byś byłaku oset na okólniku powyrzywał zamiast się z delegatami wdawać”. Jest to r. 1923, okres Chienio — Piasta. Kulać wieś w porozumieniu z drobnomieszczanstwem, kłosem i ziemianstwem. Cenę przymierza płaci

biedniacka wieś, pięć osamotnieni folwarczni. Na skargę, że córki dziedzica celowo a lekomyślnie piosną i ujeżdżane konie i na rają na wypadki, otrzyma odpowiedź: „gdybyś nawet kark skreślił, dziury w niebie nie będzie, na twoje miejsce przyjdzie dziesięciu”. Dowiaduje się, czym jest on, „chłopak od koni” dla właściciela majątku o 4,000 ha.

Wincenty awansuje na fernala, podnosi swój zarobek o 20 gr. na dzień (1 zł. 20 gr.). Wówczas to poraz pierwszy podejmuje pracę akordową. Fernal rozumiejąc konieczność szybkiego obsiewu z powodu spóźnienia robot wiosennych (długa i ostra zima), godzą się na przedłużenie czasu pracy zastrzegając proporcjonalną dniówkę od stopnia wydajności. Pstrowski uzyskuje wtedy najlepszy rezultat — dwie normalne dniówki — na dzień. Pstrowski wówczas uczy dziedzica, co znaczy człowiek pracy — nie fernal, służa pański, ale sili produkcyjnej, których wartość produkcyjną ocenić musiał dziedzic najdotkliwiej dla siebie, podwójną stawką. Po odbyciu służby wojskowej — tam nauczył się dopiero czytać i pisać — pracuje na innym już folwarku, do utrzymania się w tej pracy zniechęca go patronacki stosunek dziedzica do służby folwarcznej, poza tym trudno mu przystać już na tamte warunki, chce poprawy bytu. Pociąga go krewny do Dąbrowy Górniczej, tam jest pono więcej szans na zdobycie lepiej płatnej pracy.

Po paru tygodniach zahacza się o fabryczkę odlewów żelaznych, zarabia 3 złote na dzień. Po długich staraniach dostaje się na kopalnię „Mortimer”. Rozpoczyna od pracy ładowacza z dniówką 7 zł. (1928 rok). Ambicjonuje się, żeby zostać jak najprędzej górnikiem — reżaczem. Od 1930 roku zaczyna się spadanie w dół.

W roku 30 i 31 kopalnia będzie pracowała na „trzydniówkę”. W roku 32 już tylko po dwa dni w tygodniu. Przeciętny zarobek górnika wynosił wówczas 164 zł. Rozpoczyna się ostra walka między właścicielami kopalni a klasą robotniczą. Na mocy arbitrażu w styczniu 1932 roku placę górników śląskich jeszcze obniżono o 8 proc. Wybuchła potężna fala strajków (od połowy lutego do połowy marca). Obejmuje sobą dziesięćdziesiąt tysięcy górników z Zagłębia Śląskiego, Dąbrowskiego i Krakowskiego. W kwietniu 32 roku odbywa się zjazd sfer gospodarczych pod patronatem rządu. Obrady stoją pod znakiem ratowania kapitalizmu, dyskutuje się zagadnienie obniżki kosztów produkcji. Ma to zapłacić robotnik ograniczeniem ciężarów socjalnych i obniżką płac. Robotnicy odpowiadają zjazdem własnych delegatów, będą się dopominali „uspołecznienia podstawowych dziedzin produkcji, planowości życia gospodarczego”.

Nie mający ochoty na inwestycje kapitału francuski zamyka wiele kopalni. Kilkanaście tysięcy górników przestaje z miejsca pracować. Pstrowski to wszystko przeżywa jako uświadomiony już robotnik. Do górników dochodzi wiadomość, że kopalnia będzie zatopiona, robotnicy postanawiają nie dopuścić do tego. Rozpoczyna się tragiczna walka o utrzymanie warsztatu pracy. Z jednej strony Towarzystwo Francuskie uprawiające rabunkową gospodarkę, nie przeprowadza koniecznych już inwestycji — remontów, z drugiej strony górnicy, którzy chcą pracować. Pstrowski z całą załogą ujeżdża „na dół”, gdzie górnicy pozostają 11 dni.

Do strajkujących przybywa Wojewoda Kielecki i oświadcza, że rząd polski jest absolutnie bezradny — kopalnia należy do Towarzystwa Akcyjnego, zagranicznego, a to może robić ze swoją własnością co mu się podoba.

Przed Pstrowskim i towarzyszącymi otwiera się tragiczna dola bezrobotnych. W domu jest dwoje dzieci. Tu odezwie się w Wincentym tradycja biedniackich chłopów. Konieczność trzeba jakoś radzić. Pójdzie pracować w bieda — szybko. Tu już będzie rzeczywiste walka, walka z naturą o wydobycie przy pomocy najprymitywniejszych narzędzi węgla, który będzie można zamienić na chleb i walka z dozorem kopalni.

Pstrowski na bieda — szybach boryka się przez 4 lata. W roku 1937 dowiaduje się o zapotrzebowaniu na górników do Belgii. Wyjeżdża. Ma znów pracę na kopalni — jest starszym górnikiem, zyskuje opinię dobrego pracownika. Wojna. Przez Belgię przetacza się gwałtownie front. To Pstrowskiego przysparza do miejsca. Bieże udział w ruchu oporu wraz z najstarszym synem. Do „pańskich” władz polskich w Londynie i podległego mu wojska przekonać się nie mógł i nie chciał.

W roku 1946 powraca do kraju i staje natychmiast do pracy w kopalni „Jadwiga” w Biskupicach koło Zabrze. Bo dla Pstrowskiego — robotnika folwarczego, dla Pstrowskiego — uczestnika strajku na Mortimerze — okrzyk „Polska bez obszarów i kapitalistów” ma inną wymowę niż dla uszu inteligenta. Gdy Pstrowski mówił: „pracujemy dziś dla siebie, dla Polski chłopsko — robotniczej”, to w słowach jego nie mogło być ani cienia frazesu.

Gdy znalazł się na chodniku w kopalni „Jadwiga” mógł już tym razem postępować według wzoru osobowego, który wypracował dynamiczny proletariats wiejski i robotniczy, wzoru postulującego „dobrą robotę”.

W państwie ludowym hasło współzawodnictwa pracy, a więc podnoszenia się ku lepszymu rzucił człowiek tej grupy, która degradowana w przeszłości ekonomicznie i kulturalnie wytworzyła jednak model człowieka pracy, pracy wydajnej, twórczej i świadomego swego społecznego znaczenia i ludzie tej grupy stanęli do współzawodnictwa — pierwszy.

Leonard Sobierański

Listy polityczne

HISTERIA I OPTYZMIZM

Drogi Przyjacielu!

PRZED niedawnym czasem pokazano w jednym z kin nowojorskich fragmenty walk w Grecji. Partyzanta — dziewczynę — aresztowaną i pobitą przez wojska monarchistyczne, dzieci — nędzne, mizerne, akeje wojenną, żołnierzy faszystowskich w okopach. Widownia najprzód zaczęła chrząkać, później szurać nogami, a gdy głos speakera z ekranu zaczął wychwalać „bohaterstwo” monarchistów — zaczęło gwizdać.

Tak reagowała widownia amerykańska.

Gdy debatowano w senacie amerykańskim nad sprawą podniesienia budżetu wojskowego, z ław gości podniosła się czarno ubrana kobieta i krzyknęła: „Nie dam wam mego ostatniego syna”.

Tak reagowała matka.

Szybki wzrost drożyzny w ciągu ostatnich lat, oznacza tyle tylko, że wielka ilość robotników naszej gałęzi przemysłu z coraz większym trudem może zaspokoić codzienne potrzeby swoich rodzin, — można przeczytać w rezolucji narodowego komitetu starostw cechowych przemysłu maszynowego w Anglii z dnia 21 marca br. — Żądamy obniżenia cen podstawowych artykułów — drogą obniżenia dochodów (kapitałistów). Wypętlujemy przeciw polityce zamrożenia płac”.

Tak reagują robotnicy.

Polityka przestała być sprawą wyłącznie tylko polityków. Jest sprawą codzienną każdego człowieka.

Dlatego gdy politycy anglosaszy mówią o wschodzie i zachodzie, wschód jest tyranją i dyktaturą, zachód cywilizacją i wolnością — chciałbym Ci na prostych, może nawet błahych faktach, pokazać że linia podziału biegnie inaczej. Społecznie — a nie geograficznie.

Tuż po wojnie towarzystwo drobnych właścicieli w Stanach Zjednoczonych przesłało na ręce rządu memoriał, w którym cyfrowo dowodziło jak daleko posunęła się koncentracja kapitału — i jak średni i drobny przemysł zmniejsza stan swego posiadania.

A dziś — czy kapitał amerykański nie zagarnia całego bez mała świata kapitalistycznego?

Tymczasem — senator Cooks — jeden z tych amerykańskich historyków imperialistycznych — dowodzi, głośno i zdecydowanie, że Stany Zjednoczone bronią wolności przeciw dyktaturze komunizmu. Wolności? Bez wątpliwości. Tylko czyje? Przed portem nowojorskim wznosi się wielki granitowy posąg wolności. Ale już nawet w Ameryce mówią, jakoby pewni senatorowie chcieli mu nasadzić na głowę hełm — a zamiast pochodni wolności włożyć do ręki automat. By broń wolności.

Powiedz mi dlaczego widzowie w amerykańskim kinie protestują przeciw kłamliwym słowom speakera? Dlaczego w senacie protestuje jakaś matka? Bo wiedzą, czym jest wojna — i nie chcą nowej wojny. A przede wszystkim pragną wolności — nie tej, o jakiej mówią Truman i Marshall.

Mój drogi — mówię Ci to wszystko, byś zrozumiał, że gdy będziemy w tym roku świętować 1 Maja — znajdziemy sojuszników i przyjaciół nie tylko u nas — nie tylko w państwach demokracji ludowej, ale we wszędzie — na całym świecie, nawet — i to wielu — w Stanach Zjednoczonych.

Dziś, gdy klasa robotnicza nie jest osamotniona w walce o wolność, ale gdy zdobyła sobie tak silnego sojusznika w klasie chłopskiej i w tych wszystkich, których gnębi imperializm — dzień 1 Maja przestał być wyłącznie świętem klasy robotniczej. Jest świętem wszystkich przeciwników imperializmu — szczyrzych, uczciwych i zdecydowanych.

Dziś front walki znacznie się rozszerzył. Ta matka, która protestowała, nie zna być może pojęcia „imperializm”, ale wie, że wojna jest największą groźbą — zarówno dla ludzkości jak i Stanów Zjednoczonych. I broni się przed tym, dla których wojna jest jednym z dominujących elementów gry politycznej. A ci robotnicy, którym rząd angielski obniża bezustannie stopę życiową, są — oni w pierwszym rzędzie, w Anglii i na całym świecie — naszymi najbliższymi sojusznikami.

Nie wolno nam przeczczać faktu narastania sił demokratycznych na całym świecie. Maurice Thorez powiedział niedawno, że błę-

dem ruchów demokratycznych jest uczucie małowartości.

A czy są powody ku temu? Przyjrzyj się faktom, Marshall, Bevin, ze swymi zausznikami; starają się wszelkimi metodami — dolarami i zdradą, obudą i oszustwem — zgniebić ruch demokratyczny. Opanowali Francję? Ale tylko Francję Bluma i Schumana. Ostatnie plenum Komitetu Centralnego Francuskiej Partii Komunistycznej dowodzi, że nie można kupić narodu francuskiego — a w pierwszym rzędzie klasy robotniczej.

Kupili Włochy? Ale tylko Włochy de Gasperi i kleru. Czecję? Tylko faszystowską. Chiny? Tylko Czang-Kai-Szeka.

A wzrost potęgi i znaczenia Związku Radzieckiego — jego wielkie osiągnięcia gospodarcze i naukowe, zwycięstwa armii ludowej w Chinach, sukcesy armii generała Markosa, zgłębienie reakcji i umocnienie demokracji ludowej w Czechosłowacji, osiągnięcia gospodarcze w Bułgarii i Jugosławii, wzrost ruchów demokratycznych w Niemczech, pogłębienie demokracji ludowej na Węgrzech i Rumunii, poryw wolnościowy krajów kolonialnych —

Czyż samo podsumowanie tych faktów — nie świadczy o olbrzymiej dynamice obozu demokratycznego? A wiesz, mój drogi — jedna z poważnych gazet amerykańskich pisła niedawno, że wśród robotników coraz silniejsze staje się mniemanie, iż plan Marshalla — to tylko zмова kapitalistów i przywódców związkowych. Zмова przeciw robotnikom.

To są fakty.

I faktem jest również, że wzrasta siła naszej demokracji, wewnątrz kraju. Przeszliśmy wielki szmat drogi od czasów, gdy PSLowski klin tkwił w organizmie naszego Państwa. I brudził, siał defetyzm, hamował impet rozwoju społecznego.

Jedność klasy robotniczej jest zjawiskiem — które wzmożn; niebywałe pozoje obozu demokratycznego zarówno wewnątrz kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Nie musimy Ci też zapewne podawać cyfr wzrostu naszej produkcji przemysłowej — świadczących o stale narastającym potencjale gospodarczym naszego państwa.

To są zdarzenia, z którymi muszą się liczyć również nasi przeciwnicy. Czyż nie jest paradoksem, że państwa zachodnio-europejskie mimo nacisku Stanów Zjednoczonych, zawierają z nami pakt gospodarczy? Zapytasz może dlaczego? Z tej prostej przyczyny, że kalkulują się im bardziej kupować u nas — niż w Stanach Zjednoczonych.

Powiem Ci szczerze, że nie dziwię się histerii panującej w sferach rządzących Waszyngtonu.

Widzisz — przywilejem reakcjonistów jest histeria. Przywilejem postępu — optymizm i spokój. Czy wiesz, że minister Moch zmienił tradycyjną trasę pochodu pierwszomajowego w Paryżu dlatego, że przeszedłby on pod oknami ambasady amerykańskiej. A ambasador Stanów Zjednoczonych jest bardzo czuły na sprawy robotnicze. Woli ich nie widzieć.

My widzimy wszystko. Nerwowe zabiegi imperializmu. I wzrost potęgi obozu pokoju i demokracji.

Gdy w 1889 r. Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników ogłosiło święto 1 Maja — w wielu krajach zakazane zostały obchody i manifestacje. A później — gdy mieszczaństwo zostało zmuszone do udzielenia zezwolenia — nierz manifestacja kończyła się szarżą policji — i utratą życia przez wielu robotników. A dziś — można co najwyżej zmienić trasę pochodu. I histeryzować. A co gorsza — trzeba obserwować bezustanny przyrost sił demokratycznych. Cóż mogą zrobić biedni imperialiści. Muszą nawet nawiązywać stosunki gospodarcze z tymi, których by chętnie wysłali poza granice życia.

Choć nie chcą — dzień 1 Maja będziemy obchodzić jako święto obozu demokratycznego.

Może zrozumieją, że tylko na swoim posagu wolności mogą zmieniać akcesoria. Nie — na naszym.

Twój

Jakub

Waldemar Kiwilszo

Polska po pierwszej wojnie

(Wznowienie „Romansu Teresy Hennert”*)



Zofia Nałkowska

Dzisiaj z perspektywy dwudziestu kilku lat od chwili ukazania się „Romansu Teresy Hennert” tytuł tej książki jeszcze bardziej niż kiedyś wydaje się być nieporozumieniem. Już dawniej krytyka wysuwała wiele zastrzeżeń co do tego, że zawartość treściowa książki niezupełnie jest zgodna z nazwaniem jej w tytule. Krytycy — jak się zdaje — mieli rację. Na tej opinii zaważyły wtedy przede wszystkim względy kompozycyjne powieści. Jej wątek romansowy, będący wykładnikiem sprawy tytułowej, zostaje zawieszony gdzieś dopiero w środkowych partiach powieści, a i zdążając ku tragicznemu rozwiązaniu jest ciągle wstrzymywany, wiązany w toku swej akcji ukazywaniem przez autorkę tła środowiskowego i jego „wielkich i małych spraw” w sposób kompozycyjnie całkiem nieuzasadniony.

Przy tym środowisko, w którym rozwija się akcja zostało odtworzone przez pisarkę tak szeroko, zajmując i wyrażając, że dzieje romansu, które powinny stanowić o kompozycyjną książkę, a tym samym skupiać na sobie całą uwagę czytelnika zostały odsunięte na plan dalszy. Zainteresowanie czytelnika koncentruje się stąd nie na psychologii „nieodrobnej miłości”, lecz na życiu i obyczajach ludzi „warstw rządzących”. Dlatego więc jakkolwiek był zamiar autorki książkę należyć do powieści o miłości, jednak stanowiąc zarazem obraz przemian, które zaszły w Polsce po wojnie w ludziach i pomiędzy ludźmi...

Nie często i nie zawsze się zdarza, że książka przetrzeźwiała próbę czasu i historii nabiera nowych, żywych rumieńców życia — jeżeli się można w ten metaforyczny sposób wyrazić. Rzadko tak bywa, że czas pracuje wybitnie na korzyść książki, odkrywając w niej nowe wartości i nowe trudno dostrzegalne niegdyś jej treści. Niewiele powieści okresu 20-stoletnia dałoby się zakwalifikować do tej kategorii. Pierwszą z nich jest bez wątpienia „Romans Teresy Hennert”. Powieść ta zyskała dziś wartość dokumentarną czasów konsolidowania się przyszłych górszyczyńskich. I dlatego obecnie winna być czytana przede wszystkim jako powieść historyczna. Ten nowy funkcjonalny jej sens zupełnie tuszuje i zaciemnia problematykę tytułową, wyprowadzając jeszcze skuteczniej, niż za czasów przedwojennych wydań książki środowisko ludzi rządzących w okresie początkowym międzywojnia niepodległości, na front zainteresowań czytelnika.

* * *

Nałkowska jest pisarką o zacięciu psychoanalityka. Sferą jej zainteresowań są ludzie zagubieni we własnych komplikacjach psychicznych. I „Romans Teresy Hennert” to powieść psychologiczna bo i „coś może być ciekawszego, dla człowieka, niż los i dusza drugiego człowieka? Coś może być bardziej pouczającego?” (str. 23). Te słowa jednego z bohaterów powieści mogą być uważane za wykładnik postawy twórczej Nałkowskiej. W takim wyznaniu kryje się niebezpieczeństwo ściśnięcia obrazu świata do spraw jednostkowych człowieka, odjęcia sobie prawa wszechwładzy o życiu ludzkim. Stąd można by przypuszczać że problematyka, zubożona do wąskich wymiarów osobistych konfliktów, zostawia całkiem na marginesie bogate złoża zagadnień natury społecznej i politycznej. „Romans Teresy Hennert” nie jest na szczegól-

ście potwierdzeniem tej tezy. I — jak pisze Stefan Żółkiewski w swej przedmowie do książki — „powieść Nałkowskiej nie odsłania wprost społecznych „okoliczności życiowych” ludzi swego czasu, opisując je, z całym aparatem socjologicznych obserwacji. Pokazuje to wszystko natomiast przez pryzmat charakterów, charakterów typowych dla warstwy rządzącej w kraju, w którym na nowo stabilizują się warunki właściwe kapitalizmowi finansowemu okresu imperializmu”. Stąd bierzmy wyczytać to w tekście powieściowym.

Zdobycie niepodległości i organizowanie własnej państwowości przyspiesza proces przesuwania się mieszczaństwa na pozycję elity. Na rautach, konkursach hipiejskich, balach rej wodzi już wzbogacone kupiectwo — mieszczaństwo. I to jest symptomatyczne. W biurach ministerialnych rządzi Hennertowie — dawni subieci i drobny kupcy, handlowcy, których wojna wyniosła na powierzchnię życia, poprzez zręczne machinacje finansowe i udziały w przedsiębiorstwach handlowych. W kraju rozpoczynają się rządy wielkich akcjonariuszy i przemysłowców.

Nowe Państwo, to państwo zgodne z ideałami mieszczańskiego filistra. Pożywką patriotycznych dreszczyków i emocji staje się galowy strój: „Jest Polska — i wszystko odbywa się jak u innych. Ma się własnych prezydentów i ministrów, własnych senatorów i generałów”. Ideologia niepodległościowa zamykała się w szumnej potoczności ojczyźnianych frazesów, których przecież i tak nikt nie brał na serio, gdyż to graniczyłyby ze śmiechem. „Alboż nie jesteśmy wolni? Niepodległość, a jest już, jest. Są i granice. Mamy wszystko to, co jest gdzieś indziej, czegoś innego tak zazdrościli. Jest łapownictwo rodzinne, prywata, protekcja, rządy młotku, wielkie afery, wielkie majątki, interes, interes przede wszystkim”. I to powinno wystarczać.

Nie darmo więc prof. Laterna, były rewolucjonista i zesłaniec, dla własnego wyrozumienia sfałszowanej idei skonstruował filozofię żywiołowości życia. „Żyjemy w epoce rozpadu wszelkiej ideologii, w epoce ołbrzymiego, zupełnie cudownego rozrostu rzeczywistości. Hasła od dawna przestały być brama na serio. Zaparto się najświętszych wierzeń. Z tej i z tej strony. Partie pozerają się jeszcze, ale to, co je dzieliło, już nie istnieje: pozerają się osoby o władzę... Czy mamy wolać, że to jest źle, obmyślać środki ratunku, wzywać pomocy? Nie, nie! Dezagregacja ideałów służy, tylko życiu. Słowa programów rozdane zostały przez nową, nieoczekiwaną, jeszcze niezrozumiałą, wspaniałą treść... Realnie, po prostu sprawy biorąc — jest codzień lepiej. Programy nie sprowadziły życia — ale życie ratuje się samo”. To filozoficzne zachłysnięcie się Prof. Laterny rzeczywistością jest odkryciem całej jej nicotności ideologicznej. Nawet naukowe aspiracje profesora nie pozwolą mu na racjonalną konstrukcję świata, bo cóż, w ogólnym chaosie i nauka stała się inwentarzem przypadkowo nagromadzonych wiadomości. Zmysł wartościowania ustąpił witalistycznemu nurzaniu się w życiu.

Jest Polska. — „Jest w czym żyć, jest w czym działać”. Ale to już nie słowa prof. Laterny. W ten sposób manifestuje swą postawę godzenia się na rzeczywistość młode pokolenie mieszczańskie w osobie Wandy Hennertówny. Wśród młodych są jednak i inni. Syn prof. Laterny, Andrzej, chociaż w powieści jest całkowicie izolowanym rewolucjonistą, to jednak może być uważany za komentarz nizin społecznych do pierwszych lat odrodzonej Polski. Zarazony „nowinkami wschodnimi” — jak o nim mawiano — zarzuca swemu ojcu, że ten „spoczywając na zwiędłych laurach chybionej rewolucji w wolnej Polsce oddaje się urabianiu ducha młodzieży, zabawia się nieszkodliwymi refleksjami, jest apolityczny, apolityczny, do gruntu lojalny”. Że „w ten sposób” uchyla się od odpowiedzialności za to dzieło, o którego sam przyłożył rękę. A to się nie da. Wasz trud był próżny, bo nie zmieniło się nic: wzięcia są przepełnione, a na ulicach rozpadła się bezrobotnych kółkami. Oto jak wygląda Wanda Polska! I to są jedyne odgłosy z życia rojącego się nędzą u spodu tych warstw, które docierają do nich. Jest głęboki sens w tym, że „autorka brutalnie, konsekwentnie — jak pisze Żółkiewski — podkreśla izolację swoich bohaterów, obecność w stosunku do całego narodu. Są sami. Bez idei, bez nadziei, bez perspektyw. Zatraskani każdy swoim życiem, trywialnymi, codziennymi sprawami, piśniedzi!”.

Na straży zaś tego porządku społecznego stoją tacy, jak porucznik Gondził, pułkownik Omski — „wyznawcy aksjomatu władzy”, którzy tylko przypadkowo znaleźli się po tej, a nie innej stronie frontu. Z nich będą rekrutować się przyszłe kadry sanacyjnych osobistości. Ich rękami dokona się majowa rewolucja. Za to będą w przyszłości jaśnieć i przewodzić.

* * *

Czas, który przeżyliśmy i który przeżyła powieść Nałkowskiej pozwala nam na domyślenie jej do końca. I czyta się ją dziś zupełnie na nowo z uwagą godną tego dokumentu stygającej historii.

Wiesław Jażdżyński

Młodości...



Gimnazjum ogólnokształcące i liceum przeszedłem w latach 1933—39. Zarówno ja, jak i moi koledzy słyszeliśmy o marksizmie bardzo niewiele. Nie odczuwaliśmy zresztą potrzeby wiedzy na ten temat. Wystarczyło nam wykłady księdza prefekta, który tłumaczył nam, że marksizm nie jest żadnym poglądem na świat, nie jest teorią społeczną ani systemem filozoficznym. Jest nie przebiegającym w środkach politykierstwem, w którym chodzi o to, aby zniszczyć narodową i chrześcijańską kulturę i wprowadzić na jej miejsce rządy ciemnych mas, czyli dyktaturę proletariatu.

W rodzinnych domach odgraniczało się socjalizm od marksizmu. Nasi ojcowie — lekarze, adwokaci, pułkownicy opowiadali, że socjalizm to potężny ruch niepodległościowy, zasużony w walce z caratem. Z niego wyrósł kierowniczy państwa tacy, jak Piłsudski, Mościcki czy Sosnkowski. Te wiadomości zupełnie nam wystarczały: „zasłużyli ludzie”.

W mieście urządzali robotnicy pochody 1-majowe, śpiewali pieśni, nosili czerwone sznury. Mieliśmy do tych manifestacji taki stosunek, jaki się ma np. do krakowskiego lajkonika. Ot poprostu. Pielęgnowało się tradycję i nic więcej. Cała przecież Polska stoi na tradycji. Zresztą zaraz nadchodził 3 Maj, grały orkiestry, szły równo kompanie wojska przed panem generałem i ojcami miasta, ludzie bili prawo i rzucali kwiaty. To była nasza Polska. O 1-szym Maju zawsze się jakoś przypominało.

Przełom w naszym sposobie myślenia nastąpił 1-go maja 1938 roku. Widzieliśmy na własne oczy, jak członkowie Stronnictwa Narodowego strzelali z okien swego lokalu partyjnego do manifestujących robotników, których równocześnie tratowała konioma i biła gumowymi pałkami policja, ta sama, która w 2 dni później obrzucała kwiatami.

Zrozumieliśmy wtedy, że istnieją walczące z sobą klasy społeczne, jest sprawa robotnicza, zauważyliśmy tysiące głodnych i rozgorączkanych ludzi w kraju, którym rządził — jak się mówiło — **bardzo zasłużeni ludzie**.

Zasympyalizmyli ctdąd prefekta setkami pytań, które podniecały i męczyły naszą wyobraźnię. Dlaczego są i jak powstały klasy społeczne, dlaczego się zwalczają, czy prawda, że Marks to wyjaśnia i jak...

Książki odpowiadał zazwyczaj, że Marks i Engels byli fantastami, którzy chcieli wprowadzić ustrój równości, że to stare, zwietrzałe już idee. Już przecież „jacyś Francuzi” wymowni zrobili wynalazek, że ludzie są równi”. Na koniec dodawał, powtarzając za Dmowskim: „Starego hasła Bóg i ojczyzna nie zastąpi”, tymbardziej zaś ideologia najmniej „znaczącej” w narodzie klasy robotniczej.

Ale wyjaśnienia te nie mogły już wystarczyć, szczególnie, że narzucały dalsze, trudniejsze pytania: materia, czy duch, **jak to pojmujemy się dzieje materialistycznie?** Szkoła nie dawała odpowiedzi. Nie znajdujemy jej także poza nią. Marks, Engels, nie mówiąc już o Leninie, byli na indeksie. Żaden z nich nie występował w oficjalnej nauce. Pozostawały nam tylko namietne, przeważnie jałowe dyskusje nad sprawami społecznymi, nad ustrojem państwa, którego nie chcieliśmy przecież zmieniać, lecz tylko jakoś poprawić, ulepszyć. Wszelka myśl rewolucyjna była nam obca.

Miałem właściwie pisać o książce prof. Adama Schaffa — „Wstęp do teorii marksizmu”, tymczasem nakreśliłem wspomnienie z lat szkolnych. Uczyniłem to jednak celowo. Chciałem bowiem wykazać, jak dalece w przedwojennym ustroju była odsunięta młodzież od rzeczywistego pojmowania dziejów, od poznania tych społeczno — historycznych procesów, których rezultatem był choćby wspomniany już wcześniej, krwawy 1-szy maj w prowincjonalnym mieście.

Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna. „Zmiany ustrojowe jakie zaszły w Odrodzonej Polsce, w Polsce Ludowej — pisze prof. Schaff we wstępie do swej książki — wysunęły ruch ro-

botniczy na czoło naszego życia politycznego. Zmieniła się rola polityczna partii robotniczych w polskiej rzeczywistości, a z nią i rola reprezentowanej przez te partie ideologii — marksizmu. Świadomie przemilczany przez oficjalną naukę przed wojną, traktowany jako prąd polityczny, a nie naukowy, tępiący przez cenzurę i eliminowany z uczelni przez władzę, marksizm w Polsce miał być skazany na zagładę przez zapomnienie. Tym większy musi być jego rozkwit w nowych warunkach ludowej demokracji. Wzmaga się pod do poznania marksizmu”.

Nauka wypracowana przez Marksa i Engelsa, jako „całkowity i wszechstronny system teoretyczny”, oparta o materialistyczną filozofię, naukę o prawach rozwoju społecznego, ekonomię i naukę o taktyce walki klasowej proletariatu, przestała być utopią, nie-dorzecznymi marzeniami fantastów. Na jej podstawach buduje się przecież dzisiaj nowy ustrój Polski.

Pisało się już od dłuższego czasu, a i obecnie jeszcze się pisze, że tylko nowy, właśnie **socjalistyczny system wychowania** przesunie setki tysięcy młodzieży z gimnazjów i uniwersytetów w stronę konkretnych zadań społeczno-ustrojowych.

„Wstęp do teorii marksizmu” przeznaczony dla tego typu młodzieży jest bardzo poważnym elementem socjalistycznego wychowania, podstawą **poznania** nowego ustroju.

„Socjalizm stał się w dobie obecnej obiektywną koniecznością społeczną. Realizuje się ta konieczność w walce klas...” — przeczyta w książce prof. Schaffa akademik czy licealista i zapyta dziś, podobnie jak kiedyś jego kolega przed wojną — skąd się wziął podział i walka klasowa. Tym razem otrzyma pełną, naukową i historycznie uzasadnioną odpowiedź.

Odwolanie się do I-ej części książki pt.: „Źródła i historia marksizmu”, czy III-ej, zatytułowanej — „Materializm historyczny” pozwoli, na bogatym materiale dowodowym, przekonać się młodzieży o prawdziwości pierwszych słów Manifestu Komunistycznego — „Historia wszelkiego społeczeństwa dotychczasowego jest historią walk klasowych, a jedynym, historycznie koniecznym wyjściem jest bezklasowy, socjalistyczny ustrój”.

„Ludzie... sami tworzą historię” — przeczyta akademik, czy licealista. „Dla jej tworzenia konieczne jednak jest celowe, świadome działanie ludzi. Człowiek działa w sposób celowy, gdy przewiduje z góry skutek swego działania, tak je układa, by cel zamierzony osiągnąć... Zdolność przewidywania i jego precyzyjnie jest funkcją naszego poznania rzeczywistości...”

Jakże poznawać rzeczywistość, przewidzieć jej jutrzejszy rozwój i uzgodnić z nim zadania społeczne?

Odpowiedź zawiera II część pracy prof. Schaffa. Wszelkie dzieje przebiegają według praw dialektyki. Jej gruntowne poznanie pozwala młodzieży nie tylko umiejscowić się w historii na odpowiednim etapie rozwoju historycznego, ale daje jej w ręce **metodę badań rozwoju społecznego**.

Dla niezwykle odpowiedzialnej sytuacji, w jakiej znalazła się dzisiejsza młodzież studiująca ma to niebyłojakie znaczenie.

Jest przecież czas wielkiej próby ożywienia społeczno-intelektualnego życia średnich i wyższych zakładów naukowych. Na szereg zjazdów młodzieży studiującej padły hasła i zobowiązania do pogłębiania doświadczeń społecznych i naukowo-badawczych, poza obowiązującym programem nauczania.

W uniwersyteckich pracowniach naukowych prowadzi już dzisiaj młodzież studia nad dziejami chłopów, robotników i mieszczaństwa.

Marksistowska metoda dialektyczna, wyłożona przystępnie we „Wstępie”, jako metoda materialistycznego pojmowania dziejów, gwarantuje w znacznej mierze pomyślność badań, tworzących nową historię narodu.

A nową historię narodu, nową konstrukcję przyszłych losów Polski, trzeba jak najszybciej narodowi przedstawić w miejsce dawnej liberalno-kapitalistycznej.

I znowu wracamy do znaczenia pracy prof. Schaffa, tym razem już praktycznego. Idący dziś „w teren” akademik, czy licealista, ZWM-owiec, wiciarz czy OMTUR-owiec może już „przetłumaczyć” chłopom, że korzystne przemiany w stosunkach społecznych produkcji, spowodują korzystne zmiany w życiu gospodarczym, społecznym i kulturalnym wsi. Na szerokim tle zachodzących w ciągu XIX wieku procesów społeczno-ekonomicznych wytłumaczy bez trudu, że „nie ma równości politycznej, bez równości gospodarczej”, wyjaśni bez trudu różnicę pomiędzy mieszczańską demokracją formalną a demokracją ludową, uzasadni zatem na konkretnych przykładach historycznych konieczność współtworzenia nowego ustroju.

W rozdziale pt. „Drogi do socjalizmu” (część III) cytuje prof. Schaff takie słowa Lenina: „Nie pretendujemy do tego, by Marks lub marksisci całkowicie konkretnie znali drogę ku socjalizmowi. Jest to bzdura. Znamy kierunek tej drogi. Wiemy, jakie siły klasowe po tej drodze prowadzą, konkretne zaś, praktycznie wykaże to **doświadczenie** milionów, gdy zabiorą się do dzieła”.

Nasza młodzież zabiera się do tego dzieła, wkracza na drogę do socjalizmu. Trzeba jej pomóc. Czy nie należało by między innymi pomyśleć o tym, aby „Wstęp do teorii marksizmu” obowiązywał nie tylko na łódzkim uniwersytecie ale i na wszystkich innych? I dostał się także do liceów, do liceów!

*) Spółdzielnia Wyd. „Książka”, Łódź 1946.

*) Zofia Nałkowska: „Romans Teresy Hennert” wydanie trzecie. Łódź „Książka” 1947, str. XI + 213 + 2 nlb.

Henryk Bitner

Łódź w roku 1905



Władom, że rok 1905 poprzedzony był przez silny kryzys ekonomiczny, wywołany wojną rosyjsko — japońską na dalekich, wschodnich polach Mandżurii. Kryzys ogarnął całe cesarstwo i w skutkach rwoich przyspieszył i pogłębił wybuch rewolucyjny i dalszą walkę z absolutyzmem carskim.

Łódź szczególnie mocno wówczas cierpiała wskutek kryzysu. Przemysł łódzki tysiącami niemi gospodarzami związany był z rynkami Dalekiego Wschodu, a wojna zerwała je, odebrała przemysłowi szeroki rynek zbytu. Stawać zaczęły fabryki, wiele z nich redukowało ilość dni pracy; mnożyły się bankructwa, a Łódź co noc prawie nawiedzała łuna pożarów, bowiem fabrykanci łódzcy, znani z grynderstwa, przyzwyczajeni do wielkich zysków i nie chcąc się pogodzić z chwilowym ich zmniejszeniem, podpalali zazwyczaj w okresach kryzysu swoje fabryki, ubezpieczwszy je, rozumie się, uprzednio w kilku kasach ubezpieczeniowych.

Kryzys nadzwyczaj ujemnie odbił się na położeniu robotników. Dziesiątki tysięcy robotników łódzkich w roku 1904 szukało nadaremnie pracy i zarobku i z rodzinami swymi dosłownie przymierało z głodu. „Szczęśliwcami” nazywali robotnicy tych spośród siebie, którzy nie potrzebowali jeszcze, tak jak oni, „szlifować” bruków ulic. Nędza ogólna spowodowała, że w zastraszający sposób szerzyła się prostytucja i złodziejstwo.

Fabryka była dla robotników jednym pasmem udręceń. Za najmniejsze słówko wyrzucono robotnika z pracy. Za najmniejsze przewinienie robotnikowi odrącano od jego nędznego zarobku kary pieniężne. Otrzymał robotnik kieszkałkę osnowę, rwały się tkaczowi nici w czasie pracy, nie dostrzegł, zawsze i wszędzie odpowiedź była — kara pieniężna. Majstrowie zazwyczaj obchodzili się z robotnikami brutalnie, dochodziło często do tego, że pozwalali sobie w stosunku do robotników na rękoczyn, groźbą wydalenia z pracy lub obietnicą dania lepszej roboty zniewalali robotnice. Praca w fabrykach łódzkich trwała wówczas 11—12 godzin dziennie. Zazwyczaj robota rozpoczynała się o godz. 6 rano i trwała do godz. 6 lub 7 wieczorem, z przerwą jednej godziny na obiad. Były także fabryki, jak Geyera, w których praca trwała od godz. 6 i pół do 7 wieczór bez przerwy obiadowej, t. j. 12 i pół godziny. Zarobek robotnika, zarabiającego 6 rubli na tydzień, uważany był za bardzo dobry, gdyż były zarobki, zwłaszcza tysięcy kobiet, zatrudnionych przy osnowie, nie przewyższające 1 i pół rubla tygodniowo. Fabrykanci łódzcy w wyszukiwaniu robotnika doszli do doskonałości. Budowali domy robotnicze „familijne” i tym przykuwali robotnika do fabryki. Robotnik, który naraził się fabrykantowi, tracił w taki sposób i pracę i mieszkanie. Dano to możność fabrykantowi dodatkowo przycisnąć śrubę wyzysku i płacił mniejsze zarobki robotnikowi. U Scheiblera jeszcze większe było uzależnienie robotnika od fabryki. Kapitałista ten wyzysk zastraszania „poczętą filantropią”, i aby „jego” robotnicy nie stawiali się ofiarami wyzysku sklepikarzy, od których kupować musieli potrzebne im artykuły i towary, założył własny sklep dla „swoich” robotników, gdzie sprzedawał im towary po cenie wcale nie niższej od ceny rynkowej. „Ulga” jaką zrobił Scheibler dla „swoich” robotników stanowił kredyt, w wysokości tygodniowego zarobku. „Ulga” tą uzależnił materialnie robotnika od siebie, gdyż robotnik po utrzymaniu zarobku, zaraz go musiał oddać temuż fabrykantowi za nabyte w ciągu tygodnia produkty. Fabrykant stał się wyzyskiwaczem, ściągającym nie tylko nadwartość z pracy robotnika, ale ponadto wyzyskiującym jeszcze robotnika jako spóżywcę. Uzależnienie robotnika od fabrykanta stało się całkowite i fabrykant stał się istotnym władcą „swoich” robotników.

Z wyzysku robotników powstały w Łodzi ogromne fortuny. Robotnicy na ogół nie zdawali sobie sprawy z tego, jak i z czego tworzyły się bogactwa fabrykantów łódzkich. Pamiętam, jak starzy robotnicy opowiadali bajki na ten temat. Nie uświadomiwszy sobie istoty kapitalizmu i tego, że bogactwo w ustroju kapitalistycznym powstaje na skutek wyzyskania z robotnika nadwartości z jego pracy, a więc z wyzysku i potu — robotnicy sobie opowiadali np. że Scheiblerowi pieniądze przynosił diabeł kominem i to na podstawie umowy zawartej z nim; a że stary Scheibler kulał na jedną nogę i mocno się gniewał, a nawet i kijem okładał robotników, o ile któryś z nich zbyt badawczo patrzył na tę nogę, w kalectwie Scheiblera widzieli skutek tej umowy diabelskiej, opowiadając sobie na ucho, że noga ta prawdopodobnie ma kształt nogi końskiej.

W końcu 1904 roku w masie robotniczej wrzało i kipiało. Wówczas działalność partii socjalistycznych znacznie się ożywiła i dość często ukazywały się odezwę, których poszczególne egzemplarze wędrowały od fabryki do fabryki, od reki tak długo, aż się stały nieczytelne. Niektórzy robotnicy treści odezwę uczyli się na pamięć i powtarzali je z pamięci innym robotnikom. Pamiętam, jak to jeden z robotników u nas w domu wobec rodziców i kilku znajomych z pamięci zadeklamował odezwę wydaną przez S. D. K. P. i L. do rekrutów i robotników przeciwko agitacji rządowej, obłożonej na wywołanie nastrojów antysemitkich i pogromów.

Dużo hałasu narobiła demonstracja urządzona przez PPS 23 października 1904 roku na Bałutach. Demonstracja szła ulicami Brzezińska, Łagiewnicką i rozbita została

przez kozaków na placu Kościelnym, kiedy weszła w ulicę Franciszkańską. Tak samo duże poruszenie w masach robotniczych wywołało demonstracyjne składanie wieńców z czerwonymi szarfami na grobach towarzyszy w dzień 1 listopada, jako w dzień Wszystkich Świętych, kiedy cmentarze były przepełnione ludźmi. „Bund” urządził w tym okresie takie demonstracje, jak np. na Juliusza do Główniej. W demonstracji brało udział około 200 osób i przed samym rozejściem się dano kilka strzałów w powietrze. Partyjna robota wszędzie budziła się do życia. Urządzano większe zebrania robotnicze, w których brało udział nieraz do 50 osób. Zebrania takie odbywały się przeważnie poza miastem w okolicznych lasach.

PPS prowadziła agitację przeciwko mobilizacji wojskowej caratu; wzywała do uchylecia się od niej. Wszystkie akcje PPS odbywały się pod tym hasłem.

17 stycznia 1905 roku wybuchł strajk w fabryce Sztajnera z powodu wydalenia 14 robotników. Strajk wkrótce ogarnął całą fabrykę. Strajk ten wykazał dużą solidarność robotników...

W takiej właśnie sytuacji, kiedy wśród masy robotniczej wrzało i kipiało i rozpoczęły się poszczególne strajki, przyszła do Łodzi wiadomość o krwawej masakrze, dokonanej przez rząd carski wśród robotników w Petersburgu w dniu 22 stycznia. Wiadomość ta dopełnia miarę. 26 stycznia stanęły fabryki Geyera, Leonarda, Dobranickiego i kilka innych. 27 strajk ogarnął większą jeszcze ilość fabryk, a 28 strajk już się rozszerzył na wszystkie fabryki, stanęła cała Łódź robotnicza; strajk był powszechny.

Miasto przedstawiało widowisko, jakiego dotąd nikt nie widział. Ulicami ciągnęły manifestacyjne wielotysięczne masy robotnicze. Zwłaszcza wielkie tłumy manifestowały na ulicy Piotrkowskiej, tej głównej arterii Łodzi. Mniejsze grupy robotników szły po innych ulicach, sprawdzając w każdym domu, w każdym budynku, czy ktoś nie łamie powszechnej solidarności i nie pracuje; zdarzało się, że w małych warsztacie rekodzielnicy o niczym jeszcze nie wiedzieli i pracowano, tam zjawienie się takich grup robotniczych wzywających do porzucenia pracy, odnosiło natychmiastowy pożądany skutek. W ten sposób robotnicy, obchodząc fabryki, warsztaty, domy, byli wszędzie witani entuzjastycznie i wszędzie też przyłączano się do strajku i do manifestujących. Wszędzie panował nadzwyczaj poważny nastrój. Policja gdzieś zupełnie zniknęła. Całe popołudnie 28 stycznia chodząc po mieście i jedynie na Piotrkowskiej koło Grand Hotelu natrafiliśmy na mocno zbitego z tropu rewirowego, który zresztą także wkrótce znikł.

Komitet łódzki SDKP i L. w odezwie do robotników, wysuwając w dobre tej najważniejsze polityczne żądanie, jak to: powszechnego strajku solidarnościowego z robotnikami rosyjskimi, zgromadzenia konstytucyjnego — formułował zarazem następujące żądania ekonomiczne: 8 godzinny dzień pracy, w sobotę praca trwać powinna tylko do godz. 12 w południe, zniesienie pracy pojąfantowej, zniesienie płacy akordowej, minimum płacy 20 kop. za godzinę zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn, zniesienie kar i rewizji osobistych, dla chorych i położnic trzy czwarte zarobku, położnice od pracy powinny być uwolnione 6 tygodni przed i 6 tygodni po położu, kasy chorych z zarządzeniem wybieranym przez robotników, szkoły dla wszystkich bez wyjątku dzieci, nie przyjmowanie dzieci do pracy poniżej 16 lat, wypłata pełnego zarobku za cały czas strajku, wyrzucenie z fabryk majstrów brutalnie obchodzących się z robotnikami.

Dzień 28 stycznia — rocznica stracenia na stokach cytadeli warszawskiej „proletariatczyków” Kunickiego, Bardowskiego, Ossowskiego i Pietruszńskiego, stał się pierwszym dniem strajku powszechnego, początkiem rewolucji w Kongresówce. I chociaż w dniu tym nikt nie myślał o świętowaniu tej rocznicy, to jednakże czynem rewolucyjnym mas proletariackich najlepiej ich uczczono. O ile 26 stycznia, kiedy zastrajkowali robotnicy Geyera, natychmiast zjawili się tam kozacy i między nimi a robotnikami przyszło do starcia, dalsze rozszerzenie się strajku spowodowało, że strach padł na przedstawicieli władzy. Policja pochwalała się, a kozacy także znikli z fabryki Geyera. Ulica była całkowicie w rękach robotników. Dyscyplina wśród robotników była wzorowa. Pijanych wcale się nie spotykało, przeciwnie robotnicy obchodzili miasto i zmuszali do zamykania bagnetów przeciwko rewolucji.

W Łodzi wówczas stał 37 jekaterynburski pułk piechoty oraz dwie sekcje kozaków. Na 37 pułk piechoty władze liczyć nie mogły, gdyż żołnierze skłaniali się na stronę rewolucji. Został on zamknięty w koszarach i przez cały 1905 rok nie był używany do tłumienia rewolucji. W pułku tym istniała rewolucyjna organizacja wojskowa, która wprowadzić była za słabą, by móc pułk pociągnąć do zbrojnego wystąpienia, jednakże wystarczała na to, by pułk zdemobilizować w tym sensie, że carat, nie mógł użyć jego bagnetów przeciwko rewolucji.

Władze carskie robiły nadzwyczajne wysiłki, aby Łódź jak najprędzej zasilić wiernymi wojskami i kozakami. Ściągnięto wojska z najbliższych miejscowości: Skierniewic, Łowicza, Kalisza. Gdy tylko przybyły, zaraz zaczęły się prowokacje tłumów; kozacy wjeżdżali na trotuary, bili nahaikami, a 1 lutego przyszło do krwawego starcia wojska z robotnikami na Widzewie. Robotnicy po wypłacie zaczęli tam wyrzucać z fabryki nie-



Pochód „buntowników”

rysunek z r. 1892

których znienawidzonych majstrów. W obronie tych majstrów żona jednego z dyrektorów zaczęła z okna strzelać do robotników. Przybyło wojsko i dało salwy do robotników. Pomimo to, że wśród tłumów byli zabici i ranni, tłum nie drgnął, przeciwnie, zaczął się zawzięcie bronić palami, dragami i kamieniami, tak, że wojsko, było zmuszone cofnąć się i schować do wnętrza fabryki i tam się zamknąć. Władze natychmiast wysłały kozaków, lecz robotnicy ewentualność tę przewidzieli i poprzeczali w poprzek szosy Rokicińskiej druty, o które wieczorem, niespostrzeżony się, potknęli się kozacy i poranili się. W starciu na Widzewie padło ze strony robotników 9 zabitych i 26 rannych, a ze strony wojska 3 zabitych i kilku rannych.

„Miesiąc luty, marzec i kwiecień były okresem, w którym robotnicy w walce zdobyli znaczne polepszenie warunków pracy i płacy, czas roboczy został skrócony do 10 godzin, w takimże stosunku podniesione zostały również płace robocze. W okresie tym atmosfera rozogniała się coraz bardziej, jednocześnie zakiplała intensywna praca propagandowo — organizacyjna. Fabrykanci bronili swego stanu posiadania, obstawili swoje fabryki wojskiem, przeważnie kozakami. U Scheiblera stała dłuższy czas cała setka kozaków, a także oddział dragonów...

Pierwszego maja 1905 roku w Łodzi było wiele starć z policją i wojskiem w różnych stronach miasta. Szczególnie ostry charakter miały starcia demonstrujących robotników na ulicy Piotrkowskiej oraz na Wodnym Rynku.

W maju strajki ekonomiczne były wyjątkowo liczne. Przerzucały się one z jednej fabryki na drugą: strajkowali robotnicy fabryk: Markusa Kohna, Kindermanna, Tykocinera, Liebracha, Friedmana, Litauera, Benicha, Rychtera, Czarnańskiego, Heintzla i Kunitzera na Widzewie, Geyera, Grohmana, Scheiblera i wiele innych; strajkowały poszczególne fahy: piekarnie, krawcy, malarze itp. 12 czerwca zabito w Łagiewnikach pod Łodzią żandarm, który zamierzał odebrać sztandar czerwony zebranych tam demonstracji. 18 czerwca powraca z majówki spod tychże Łagiewnik kilka tysięcy robotników. Na Bałutach zostają napadnięci, przy czym od wystrzału pada 9 zabitych i 40 rannych. Wśród zabitych jest 4 Polaków i 5 Żydów. Partie robotnicze wzywają masy robotnicze do strajku i masowego demonstracyjnego udziału w pogrzebie poległych. 20 czerwca odbył się pogrzeb 4 zabitych robotników polskich. Stanęły fabryki i masy robotnicze ruszyły na pogrzeb. Kondukt pogrzebowy z 4 trumnami, które robotnicy wzięli na swoje ramiona, przeszedł ulicami: Brzezińska, Franciszkańską, Widzewską, Średnią na cmentarz na Doły. W pogrzebie brała udział 70-tysięczna masa robotnicza. Po drodze rozdane były oddziały żołnierzy, którzy tym razem zachowywali się spokojnie, przed trumnami i sztandarami zdejmowali czapki. W bocznych ulicach wprowadzili harcowali kozacy, lecz na demonstrujący tłum ludzki nie najężdżali. Tak samo cmentarz otoczony był kozakami, ale przemówienia tam odbyły się bez przeszkód... Z pogrzebu masy robotnicze rozeszły się, szykując się do udziału dnia następnego w pogrzebie 5 poległych ofiar żydowskich.

Toteż następnego dnia o godz. 6 wiecz. jeszcze większe masy robotnicze zebrały się na Starym Mieście. Tu się jednak okazało, że władze carskie zabrały ciała zabitych jeszcze poprzedniej nocy z kostnicy szpitala Poznańskich i ukradkiem pochowały. Masy robotnicze wzburzone ciągle prowokacja rządu carskiego zaczęły żywiołowo protestować przeciwko nowej prowokacji... Wreszcie na ulicy Franciszkańskiej ukazały się sztandary i pochodem demonstracyjnym cały tłum ruszył na Nowe Miasto. Tłum po drodze nieustannie rósł. Kiedy pochód posuwał się z Nowego Rynku na Piotrkowską, masę zebraną i powoli posuwającą się były tak liczne, że wszyscy zalały i morzu ludzkiemu nie było końca. Niezliczona ilość sztandarów czerwonych i czarnych powiewała wśród tłumów. Nastrój panował nadzwyczaj rewolucyjny. Wznosząc hasła powoli poruszała się ta

olbrzymia demonstracja wzdłuż ul. Piotrkowskiej. W miarę posuwania się pochodu, zaczęły się ukazywać w bocznych ulicach oddziały wojska i kozaków. Do olbrzymiego napieniającego całą szerokość ulicy tłum zaczął dawać salwy, a kozacy rżnąć szabłami. Powstało ogromne zamieszanie. Masy w popłochu szukały ratunku. Odrywały się straszne sceny. Ludzie uciekając przewracali się, na nich walił się inni, pchani przez tłum. Bramy domów były pozamykane. Ratujący się tłum rzucał je, przewracał parkany. Do stosów żywych ciał strzelali rozbawieni i krwiożerczy kozacy. Bruk ulicy gęsto zaległy trupy. Ranni jęcząc wołali ratunku. Padali mężczyźni, kobiety i dzieci...

Co się wówczas działo w masach robotniczych trudno opisać. Gniewem i chęcią zemsty zawrzało Łódzki Komitet SDKP i L. wydał odezwę, która się kończyła wezwaniem: „Na ulicę, bracia! Niech na cześć poległych w piątek, 23 czerwca staną wszystkie fabryki i warsztaty, niech ustanie wszelka praca, niech zamrze wszelkie życie, niech ustanie wszelki ruch!”

23 czerwca od samego rana rozpoczęła się żarta walka, pełna ofiarności i męstwa. Stanęły barykady. Stanęły wówczas na ulicach Łodzi przeszło 50 barykad. Nicomal wszystkie sklepy państwowe sprzedając wodkę państwową t. zw. monopole zostały rozbite, często spalane. W wielu miejscach poprzetrącano słupy telegraficzne, których użyto do budowania barykad. Zawsza znożono urządzenia sklepowe, beczki, wozy, skrzynie... W ten sposób powstawały barykady, sięgające miejscami wysokością 10 metrów. W wielu miejscach poprzeczano druty poprzek ulicy, chroniąc je w ten sposób od nalo-tu kawalerii. Barykady były zbudowane na ulicach: Piotrkowskiej, Dzielnej, Zielonej, Mikołajewskiej, Promiennej, Rokicińskiej, Szosie, Przejazd, Caglienianej, Średniej, Konstancynowskiej, Rybnej, na Kweli oraz w wielu innych miejscach, zwłaszcza Starego Miasta.

Robotnicy byli źle uzbrojeni, bowiem tylko jednostki miały rewolwery, a jeszcze mniej było brauningów. Barykady nie były broniące w ten sposób, by obrońcy za nie się chowali, co zresztą było słuszną taktyką, gdyż żadna z nich nie chroniła przed kulą karabinową. Kiedy wojsko krok za krokiem ostrożnie się zbliżało do barykady, dając do niej salwę za salwą, robotnicy bronili barykad, ostrzeliwując wroga z bram domów.

Największym błędem powstania było to, że nie stworzono zwartego kierownictwa akcji bojowej i dlatego każda z grup robotniczych mogła działać i bić się z przeważającym i planowo postępującym wrogiem tylko w oderwaniu od innych grup. Dlatego też nie robiono wysiłku o zdobycie ważnych punktów miasta lub rządowych budynków... Powstanie zatem miało charakter wybitnie żywiołowy, było wyładowaniem gniewu i energii rewolucyjnej masy robotniczej, doprowadzonej prowokacją rządu do wystąpienia zbrojnego na ulicę.

W mieście trwała nieustanna strzelanina. Oddziały wojska strzelały wzdłuż prostych i długich ulic łódzkich. Ostrzeliwano okna domów mieszkalnych.

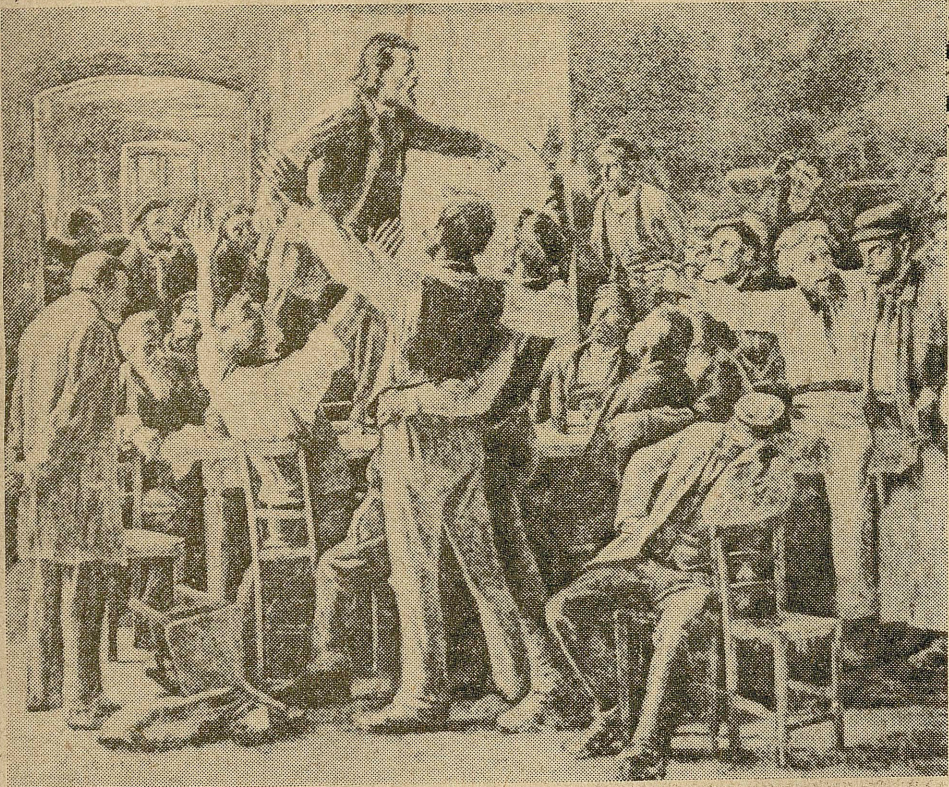
Walka zbrojna proletariatu łódzkiego trwała dwa dni...

Organizacja łódzka SDKP i L. stojąca na czele ówczesnej walki proletariatu łódzkiego wykazała wprawdzie umiejętność skupiania mas pod hasłami rewolucyjnymi socjaldemokracji, ulegając jednak teorii SDKP i L. o błędności taktyki technicznego organizowania rewolucji, nie była w stanie przeprowadzić walki rewolucyjnej. Wskutek tejże przyczyny nie mogła ona liczyć na odpowiednie poparcie organizacji powstania przez ZG i inne organizacje partyjne.

...Po powstaniu zbrojnym ogłoszono w Łodzi stan wojenny. Zaczęły się masowe areszty. Policja dokonywała aresztowań przeważnie według wskazań fabrykantów zabierając robotników z mieszkań, a także z fabryki...

W lipcu i sierpniu — właśnie po powstaniu zbrojnym, które przeraziło burżuazję — zaczęła działać energicznie endecja

ŁÓDŹ!



Przed strajkiem

Piotr Pigwa

Notatnik z dawnej Łodzi (1918—1924)

SZKICUJĘ tu krótki notatnik wydarzeń z terenu Łodzi w latach 1918—1924, a więc na progu międzywojennej niepodległości. Notatnik ten przypomni naszemu czytelnikowi smutne dzieje robotniczego miasta, w którym już od pierwszych lat dziwnej wolności, równocześnie z bogactwem kilku tysięcy fabrykantów rosła nędza setek tysięcy robotniczego proletariatu.

Rok 1918. Przemysł łódzki zamarł. Ustępujący Niemcy wywieźli wszystkie surowce i półfabrykaty, 1000 maszyn elektrycznych i 1.300 km. pasów transmisyjnych.

W mieście podniecona atmosfera polityczna. Poszczególne partie przygotowują się do kampanii wyborczej. W następnym roku wybory do Sejmu i Rady Miejskiej. Duża popularnością cieszy się Polska Partia Socjalistyczna, owiana urokiem walki o dopiero co uzyskaną niepodległość. Ugrupowania polityczne prawicy — Zjednoczenie Narodowe i Narodowy Związek Robotniczy skupiają siły do rozgrywki.

Rok 1919. Łódź głosuje w wyborach do pierwszego Sejmu Ustawodawczego. Wyniki: Zjednoczenie Narodowe — 21,0 proc., Centralny Demokratyczny Komitet Wyborczy — 1,3 proc., Klub Mieszczański — 3,0 proc., Narodowy Związek Robotniczy — 38,6 proc., Polska Partia Socjalistyczna — 36,1 proc.

Odbývają się także wybory do Rady Miejskiej: PPS otrzymuje 46,6 proc. głosów, NZR — 36,6 proc., Chadeccja jedynie 4,9 głosów.

W Radzie zasiadają w większości przedstawiciele PPS, którzy wspólnie z NZR sprawują zarząd nad miastem.

Wielki kapitał uruchamia znaczną większość fabryk.

Rok 1921. Prezydent miasta Aleksy Rzewski z PPS wygłasza exposé budżetowe. Mówił on: „Szczególną opieką otoczyły władze centralne jedynie źródło dochodu miasta, to jest paskarzy i wielki przemysł... Wielki przemysł, który ciągnie z Łodzi miliardowe dochody, nie ponosi żadnych prawie ciężarów na opędzanie wydatków miejskich. Dyrektorzy fabryk, przemysłowcy decydują o tym, czy Łódź ma pobierać podatek od przemysłu, czy nie”.

Kilka tysięcy fabrykantów ciągnie z 1200 fabryk miliardowe zyski i nie świadczy prawie wcale na rzecz miasta. Równocześnie robotniczy Zarząd Miejski pokrywa ponad 50 proc. wydatków z rozmaitych pożyczek.

Licząc ponad 450.000 mieszkańców Łódź jest zupełnie nie skanalizowana i posiada w kilku szpitalach miejskich około 1000 łóżek.

Na robotniczych przedmieściach szerzą się choroby. Ludzie umierają tam młodo. Fabrykant, księża i urzędnicy żyli przeciętnie 61 lat, robotnicy z Dołowa, Karolewa i Bałut — tylko 50. Chociaż — 50 lat życia na Bałutach to bardzo dużo.

Rok 1922. Miasto przeżywa poważne wstrząsy polityczne. Jest właśnie ciężki okres inflacji i rosnącej drożyzny. Przedstawiciele Narodowego Związku Robotniczego występują manifestacyjnie z Rady Miejskiej. Cały ciężar konsekwencji społecznych i gospodarczych, wynikających z ogólnej nędzy robotniczej spada na osamotnioną PPS. W atmosferze głodu i groźby bezrobocia partia traci wpływy.

Massowy napływ sproletaryzowanych chłopów do miasta lokuje się politycznie w NZR i Chadeccji, prowadzącej w całym kraju ofensywę przeciw lewicy.

Rok 1923. Rządy nad państwem sprawuje „Chłeno-Piast”. W mieście bezrobocie, drożyzna, głód. W wyborach do Rady Miejskiej

otrzymuje Chadeccja — 43,6 proc. głosów, NFR 36,9 proc., PPS — tylko 16,3 proc.

Na nielegalną listę komunistyczną pada już 11 proc. głosów.

Na siłę zyskują partie skrajnej prawicy i radykalny ruch robotniczy.

Dni głodu i bezrobocia. Solidarność klasowa robotników załamuje się. Zwycięski kapitał łamie obowiązujące ustawy. Uderza z całą siłą w dotychczasowe zdobycze społeczne proletariatu, usuwa z pracy tysiące świadomych działaczy robotniczych.

Bezrobocie i głód... W samym tylko przemysle włókienniczym — 30.000 ludzi bez pracy, na ogólną liczbę 100.000 robotników.

Zarobek tkacza łódzkiego, za który jeszcze w 1914 roku można było kupić 20 kg. maki pyłowej, wystarcza w czerwcu na zakup 7,2 kg. maki, w lipcu już tylko 4,8 kg.

W obozie lewicy robotniczej dojrzewa przekonanie, że tylko przez obalenie ustroju kapitalistycznego, można będzie uratować naród od katastrofy społeczno-gospodarczej.

Tragiczny rok 1923. Cały polski proletariatu próbuje walki.

Dnia 16 lipca stają wszystkie fabryki w mieście. Strajk! 18 lipca zwołują posłowie tow. Pudlarski i tow. Zerbe wielki wiec na Górnym Rynku.

Kapitałisi rozkazują policji strzelać do manifestantów. Leje się latem w Łodzi robotnicza krew.

Poleje się w grudniu w Krakowie, Borysławiu i Tarnowie.

W kraju rządzi sojusz Chłeny z Piastem.

Rok 1924. Miasto liczy 30.000 przedsiębiorstw, w tym 25 banków i 5 tysięcy zakładów przemysłowych.

Rada miejska składa się w olbrzymiej większości z przedstawicieli Chadeccji i Narodowej Partii Robotniczej.

Bezrobocie wzrasta. 1 stycznia zatrudnia przemysł włókienniczy 72.402 robotników, 1 października już tylko 49.759. Jesienią, blisko 50.000 bezrobotnych szuka pracy. Znajduje ją 566 ludzi.

Na gruźlicę choruje 4 przemysłowców, 4 właścicieli kamienic i 948 robotników. Szerzą się i inne choroby. A szpitale liczą nie wiele ponad 1000 łóżek.

Policja dokonuje w ciągu roku 48.004 aresztowań, przeważnie za przekroczenie przepisów sanitarnych, kradzieże, obrażę rządu, dzieciobójstwo i podrzucanie dzieci...

Liczba samobójstw wzrasta z 42 (w r. 1918) na 240.

Wybuchło 356 pożarów.

Sprawozdanie z działalności Zarządu Miejskiego mówi o pracach budowlanych. W mieście buduje się kościoły. Robotnik z Bałuckiego piekła ma tu odzyskać wiarę w miłość bliźniego.

„W lokalach Chrześcijańskich Związków Zawodowych dowiadują się robotnicy z Dołowa, Zarzewia i Karolewa, że strajki godzą w interesy proletariatu, a Bóg każe miłować zarówno kolegę tkacza jak i właściciela fabryki.

Tak to płynęły lata dziwnej wolności międzywojennej — w proletariackiej Łodzi, gdzie robotnik zarabiał na kilka kg. maki i świadczył na rzecz miasta, a ciągnący miliardowe dochody kapitałisci budowali kościoły i kierowali życiem nawet wtedy, gdy Radę Miejską obsiadali socjaliści.

„W suternach zatechnych, w smrodliwych, norach, serce drze człowiekowi dziecięcy płacz. Dzisiaj i wczoraj beznadziejnie są smutne” — oto obraz życia proletariatu łódzkiego w latach 1918—1924!

Anna Kamińska

List z Łodzi

Poeeci niech jadą do Neapolu. Tam są barwy i tłum i życie w oprawie wielkiej sztuki.

Mnie, Janie Aleksandrze, wystarczy Łódź i Widzew.

Pomyliłeś się jednak wciskając mi w rękę notes reporterski.

Zaczęłam od Miejskiego Urzędu Statystycznego, ale potem — im dalej od naszej redakcji, im głębiej w boczne uliczki przedmieścia, tym mniej zostało we mnie z publicysty, tym bardziej zateśkniłam za prawem do pozostania w sferze poezji.

Pisarze wyjeżdżający na wieś dla badania czytelnictwa mają poczucie tego, że zapuszczają się w jakąś egzotykę, w gąszcz cudzych spraw życiowych, gospodarczych, w których kultura wytrzebiła tylko bardzo wąskie ścieżki.

Pokazywaliśmy wielokrotnie stan kulturalny wsi, obecny i w perspektywach historycznych, — jako drożę kultury narodowej.

A jakże to jest w mieście, w Łodzi Fabrycznej?

Przed wszystkim, jak z kulturą materialną? z uzbrojeniem życia? Co znaczy zrównać wieś z miastem w poziomie kultury? Te pytania niepokoją mnie. I myślę, że nie będzie na nie odpowiedzi zanim się nie pozna dokładnie środowisk drobnomieszczańskich i robotniczych w miastach, zanim się nie ułoży tego poznania choćby w ogóle schematy problemowe.

Na Piotrkowskiej — liczącej podobno 7 wiorst długości są państwowe i spółdzielcze domy towarowe, parę sklepów o pięknych wystawach. Ale tuż obok, choćby na Główniej — dziś Stalina — odnajdziesz prowincję. Te sklepiki, w których żółkną tak lubiane przez dzieci kolorowe pieczątki z papieru, ciastko na wystawie, słoik z zielonym ogórkiem i używana proteza dziecięca.

A oto targ. O tej porze zdejmują się już i chowa towary, składa stragany. Najdłużej pozostają ci, co nie mieli dziś szczęścia do sprzedaży, ci z czarnego rynku. Jakaś kobieta drepce cierpliwie trzymając na obwisłych piersiach starą, nicianą serwetkę. I tak nikt nie kupi tej szmatki. W ogóle ludzie, którzy tu się kręcą noszą ubrania niby wyjęte dopiero z zakurzonej paki, swetry obwisłe na ramionach. Nie pomoże tani karmin na wargach, ondulacja, ani blaszany kołczyk. Tak wygląda drobnomieszczańska bieda.

Ul. Czerwonej Armii to dawny gościniec. Po brzegach jeszcze świeża trawa i stare drzewa. Na ławkach grzeją się w popołudniowym słońcu starzy robotnicy i majstrowie. Siedzą pojedynczo i po dwóch, kręcą papierosy, ale nie rozmawiają.

Gromadny tryb pracy, hałas i zgiełk fabryczny, jaki noszą w uszach tłumy skłonności towarzyskie. Wolą też dlatego tu usiąść, niż iść do świetlicy, gdzie trudno odpocząć.

Na wsi — poddaje mi tę myśl spotkana nauczycielka — praca samotna skłania do gromadnej, towarzyskiej rozrywki, ludzie szukają się. Świetlica przecież jest instytucją wiejską, wyrosłą w tradycji chłopskich wieczornic, samorządnych sąsiedzkich schadzek. Świetlica na gruncie robotniczym szuka sobie dopiero miejsca, jej obrzędowość przeniesiona ze wsi z oporem przełamuje stare formy.

Są tu ulice: i Niska i Głębocka i Sucha, Borsucza i Winna. Uliczki ciemne, szczerbate, choć kończące się wylotem na przestrzeń śmietników i ugorów.

Jakże ubogi reportaży! Bo tu już kończy się Łódź i Widzew i zaczyna się każde przedmieście i własne dzieciństwo.

Dobrze znana, a tajemnicza topografia podwórka ze śmietnikiem, komórkami na węgiel i kartofle, pompa studzienna — choć nie wszędzie, nie wszędzie i jakiś zieleniejący badył, może bez, którego zakurzone latem liście przykłada się do ust, aby śpiewały.

„Przywykli ludzie biadać, nie razi ich już, że wodę czerpią raz czerwoną, to niebieską, zależnie od barw, używanych dnia tego przez pobliską farbiarnię” — pisze Górski.

Mała dziewczynka obok rynsztoku piśnie na węglowym żużlu ulicy nauczone dziś w szkole litery. Kupmy i tej córeczce skórzane trepki. Ponure kamienice uli-

cy, ulicy Niskiej zostały podważone przez piwnice suteryn. Wybudują, piękne kwiaty za szybą gdzieś w głębokich dołach okien, papierowe firanki. W ciasnych, małych mieszkaniach wre i teraz przed wieczorem praca. Kobieta po powrocie z fabryki i tak musi wykonać te wszystkie roboty gospodarskie, jakie ma na głowie gospodyni, która cały dzień krząta się po domu.

Przeciętny zarobek robotnika 6—7 tysięcy złotych nie wystarcza na życie. Robotnicy dorabiają, jak kto umie — robią szafliki, naprawiają buty i przewody elektryczne, handlują.

To też życie kulturalne skupiające się w instytucji świetlicy obejmuje tylko część robotników, przeważnie młodzież. Młodzi wypożyczają książki z biblioteki, więcej tu zresztą dziewczyn niż mężczyzn. Czytają Rodziewiczównę, Mostowicza, Gojawiczyńską. Młodzi śpiewają i grają na instrumentach i na deskach amatorskiej sceny.

Świetlica oddziaływuje i poza nimi np. organizuje zbiorowe wycieczki do teatru. Starsze kobiety przychodzą na Sartre’a w chustkach, jak na wsi.

Miasto dostarcza zresztą tylu zastępczych form kultury, że głód jej wydaje się tu mniej odczuwany, niż na wsi. Troska o byt i praca regularna, zbiorowa. A o pożar tutaj tak łatwo — okazja do gromadnego przeżycia. Kobiety wychodzą przed dom z niemożliwymi zawiązanymi w chustkach, stoją i pogadują lub patrzą przed siebie.

Gdy spoglądam przez uchylone okna w te wnętrza, na te kredensy, stoliki z kwiatami, nagle skrzypce na ścianie — myślę, że sam Gałczyński jest jeszcze za mało drobnomieszczański, aby mógł to wyrazić za mało pozytywny, aby w „Odrodzeniu” wezwać do zniesienia, do wyrównania. Bo już przebudowywać, dobudowywać w takiej kulturze się nie da.

Widzew jest osobną osadą fabryczną. Wokół wielkiego kompleksu Manufaktury powstało miasteczko robotnicze, przytwierdzone przez mieszkania do fabryki. Odosobnienie, zamknięcie powiązało ludzi więzami pokrewieństwa i sąsiedztwa. Rozkrzewiły się w drewnianych domkach, wystawionych przez kapitalistę Kohna, rodziny robotnicze. Powtarzają się raz po raz nazwiska. Działki uprawne przydzielone do mieszkań zbliżają osadę fabryczną do wsi — gładzą kury i kaczki w kojcach. Starzy dłużyli w ziemi, pielęgnują trybulkę.

Gdyby, jak w „Kulawym diable”, — można było wzniesić się nad miasto i zdjąć pokrywę dachów — ujrzaloby się te same losy ludzkie w coraz podlejszym ku brzegom, coraz lichszym stylu i formie zewnętrznej.

Ubóstwo, niedostatek godne filantropijnych towarzystw, które miały zasypywać dziury ustroju kapitalistycznego — te słowa dziś mobilizują do innych zadań, niż kwesty salonowe.

Silny i jednolity polityczny ruch robotniczy, zaufanie do państwowego planu gospodarczego, zwiększenie produkcji przez współzawodnictwo.

I tak blakając się wśród tej biedy i wśród wspomnień własnego dzieciństwa, gdy to chodziliśmy nie samotnie, lecz w tak samo czułym objęciu ze swoją małą przyjaciółką, jak te dwie umorusane dziewczynki, w tunelu przedszkolnej bramy — biorąc sobie z tego pejzażu miejskiego naukę bardzo ogólnoludzką, jak tylko być może w poezji: nie ma miłości, nie ma spokoju osobistego poza działaniem w zakresie materialnych spraw ludzkich, poza czułą pamięcią o tym, jak jedzą, jak się ubierają, jak żyją towarzysze.

Nie ma uczuć szlachetnych, które by dały w kierunku przeciwnym, niż dążność mas do dobrobytu i kultury.

Nie ma zacisza prywatnego, które by uprawniało do neutralności w walce, jeśli potrzeba.

Patrzę, jak starsza kobieta, tęga i matczyna podlewa w swym ogródku dwa tulipany. Rozkwitły w przededniu święta robotniczego.

I jest działaczką Polskiej Partii Robotniczej. Matka z P. P. R.!

Inna matka modli się za nią w kościele... niech tam.

Helena Brodowska

Życie Ireny



Irena Kosmowska
(w młodości)

Z SALONU — DOM CHŁOPSKI

SCHYLEK XIX w. szczyty się zróżnicowaniem życia kulturalnego. Powstają muzea, biblioteki, czytelnice, wydawnictwa, kluby dyskusyjne, szkoły, kursy, związki i stowarzyszenia, dzięki różnorodnej inicjatywie jednostek i zespołów. Ale salon towarzyski nadal nie traci swojej funkcji społeczno — kulturalnej. Tradycyjna forma kultywowania życia towarzyskiego według wzoru salonów arystokratycznych — szlacheckich znajduje swoje pełne zastosowanie w dobie kształtowania się kultury mieszczańskiej.

Salon Izabelli Łękiej był nie tylko podniętą do wzruszeń miłosnych Wokulskiego, była to przede wszystkim szkoła awansu społeczno — towarzyskiego dla kupca, wkraczającego w kręgi arystokracji rodowej.

Rytuał salonowy był przedmiotem wychowania rycerskiego, z którego uroku dotąd nie mogą otrząsnąć się niektórzy wychowawcy.

W ostatnich kilkunastu latach XIX stulecia, gdy wzmożyły się poszukiwania dróg i metod podniesienia kulturalnego wsi, również za wzór posłużył salon towarzyski.

Tak było w domu rodzinnym Ireny Kosmowskiej. Dom Kosmowskich piastował w sobie tradycje życia dawnego dworku szlacheckiego ziemii płockiej Macieja Kosmowskiego, dziadka Ireny i babki Radziejowskiej z Rembiszyn. Ojciec Ireny — doktor medycyny i matka literatka utrzymywali szerokie stosunki towarzyskie w stołecznym mieście Warszawie. Dom przy ul. Nowogrodzkiej 42 znany był w kręgach inteligencji już wtedy, gdy Irena była młodą dziewczyną.

Życiem i pracą własną rozszerzyła Irena znacznie krąg uczęszczających na Nowogrodzką 42. Wielu spośród chłopów zaangażowanych w prace ruchu ludowego nocowało w mieszkanku Ireny. A prawie nie było takich, którzy choćby przez chwilę nie korzystali z odpoczynku i ciszy w skromnym pokoju przy Nowogrodzkiej 42 z mebelkami w stylu zakopiańskim. Dzieci, a nawet wnuki chłopów, działający z lubelszczyzny, krakowskiego, ziem kieleckiej czy z Pomorza śmiało zjeżdżali do stolicy, licząc na otwarte zawsze drzwi mieszkanka Kosmowskiej i jej pomoc osobistą.

Bywalcy — „bieszadnicy herbatek” — urządzanych w tym domu dość często, a zawsze tłumnie, pamiętają wiele ciekawych rozmów i opowiadań tam zasłyszanych. Bogactwo tematów wynikało ze spotkania się różnych osób, różnych zawodów i sfer. Spotykali się w tym z każdym rokiem skromniejszym saloniku, reprezentanci „wielkiego świata” z najbardziej niepozornymi działaczami wioskowymi.

Dom I. Kosmowskiej był domem rodzinnym dla każdego, kto weni wstępować. Panowała w nim zawsze atmosfera życzliwości i serdeczności, nieśmiały i wątpliwy napawała wiarą i odwagą. Na prostych półkach salonowych, wśród w nieładzie bibliotekarskim utrzymanych książek i pism, widniały także tytuły takich pism, za którymi bywalcy Nowogrodzkiej 42 naprosto „uganiali” po księgarniach. Wzorem Kosmowskiej nie jeden działacz ludowy kompletował własny księgozbiór. Przegląd pism spotykanych na stoliku w pokoju Kosmowskiej dopomagał często sekretarzom organizacji, partii politycznych, kierownikom świetlic i domów ludowych w ustalaniu zakresu czasopism dla ich placówek oświatowych.

Z towarzyskiego salonu rodziców, uczyniła ona **chłopski dom kultury**, twórczej myśli wczasowania i pomocy.

Ujmującym sposobem bycia, wysoką kulturą osobistą i niezwykłą umiejętnością obcowania zarówno z młodymi jak i ze starszymi, z chłopami i z „panami”, poprzez swój na tradycji szlacheckiej ukształtowany salon towarzyski budziła Irena marzenia chłopów zbudowania w stolicy „Chłopskiego Domu”. Upatrzony przez nią na ten cel był gmach przy ulicy Kredytowej.

Myśl założenia „Domu Ludowego” w Warszawie rzuciła już „Zaranie”. (Uczynił to w 1912 r. Maciej Dudek Zaraniarz z Woli Skromowskiej pod Kockiem na posiedzeniu Sekcji Mleczarskiej włościańskich spółek).

„Wypowiedział brat Dudek — jak pisze „Zaranie” — potrzebę chłopów dojeżdżających do stolicy: Domu Ludowego w Warszawie, żebyśmy w nim, jak we własnym domu mieli wszystko, co nam potrzebne. — Swoje sercem, swoje duszą, swoje myślami... Myśmy sobie taki Dom wybudować powinni, bo w swoim tylko będziemy gospodarzami i wolnymi pod każdym względem — ani więc pańscy, ani księżcy, ani tej lub owej partii, jeno swoi...”

W Polsce okresu międzywojennego było to jedno jeszcze niespełnione marzenie młodzieży chłopskiej.

Dom Ireny Kosmowskiej starał się spełniać funkcje chłopskiego domu w stolicy.

Cechowało go coś więcej, aniżeli to co wyznaczył chłopskiemu domowi w stolicy Maciej Dudek. Dom ten skupiał ludzi postępowo myślących. Był domem dla chłopów, był przystępną dla inteligencji, bywali w nim robotnicy, bywała młodzież „wiciowa” i w konspiracji pracująca młodzież komunistyczna.

Kosmowska nie podzielała stanowiska większości ludowców, wyrażającego się w tendencji do utrzymywania chłopów w zamkniętym świecie spraw i kultury własnej, ludowej. Przez dom i „uludowiony”, pański salonik rozszerzała spojrzenie chłopów na świat kultury narodowej i ogólnoludzkiej.

ETAP ZBLIŻENIA SIĘ DO LUDU

Twórca elementarza obrazkowego K. Promyk wskazywał drogę oświaty ludu wiejskiego przez osobiste codzienne obcowanie inteligenta z miastem z chłopami ze wsi. Gorący rzecznik oświaty ludowej M. Brzeziński, odkrył i rozwijał swój talent popularyzatorski w obcowaniu z ludem wiejskim. H. Radlińska stwierdza, że zadziwiająca siła i zasięg oddziaływania na lud M. R. Brzezińskiego wynikały nie z samego tylko talentu, lecz były poparte „długim serdecznym obcowaniem z ludem”.

Nie każdy, kto miał wolę pójścia na wieś, miał ten dar pozyskiwania sympatii osobistych wśród chłopów.

Współczesna Irenie Kosmowskiej działaczka ludowa ziemi sandomierskiej wyznaje: „Patrzyliśmy na siebie, jak ludzie przypadkowo zetknięci z dwóch odrębnych biegunów, obcy, bez łącznej nici powstałego tematu. Znajdowałam się wtedy w najwyższym napięciu samowyszkolenia. Pracowałam dużo i nieustannie a równocześnie chęć zbudowania do zrozumienia myśli ludzi, których nie znałam, nie ustawała na chwilę”.

Od tejże samej pamiętnikarki dowiadujemy się o metodzie, jaką stosowano w tajnym nauczaniu i uświadamianiu ludu: „Wychodziłam często na spacer i spotykałam gromadki

dzieci wracające ze szkoły. Nawiązałam z nimi łączność o cechach przygodnej znajomości, a po pewnym czasie zaproponowałam im aby, wracając ze szkoły, wstąpiły do mnie, to dostaną ode mnie książki do czytania. Czekając cały dzień. Nie zjawił się nikt. Spotykając je później nie robiłam nacisku, ale opowiadałam im niektóre fragmenty z dziecinnych powiastek. Słuchały tępo, ale ciekawie. Po pewnym dopiero czasie zjawiało się dwóch...”

Kupiłam 50 książek dla dzieci treści przeważnie historycznej. W tym kilka egzemplarzy historii polskiej Anczyca pod tytułem: „24 obrazki”. (Moje życie i działalność społeczna w powiecie sandomierskim — Rocznik Socjologii Wsi 1937).

Brzezińscy nie zadawali się samą serdecznością, ale pogłębiali ją obiektywnym poznaniem.

Wszczęli pracę badawczą nad tematem: „co i jak nasz lud czyta”. Rezultatem tej pracy był „Śnipek” H. Brzezińskiej i „Podarunek dla młodzieży” — M. Brzezińskiego, zaopatrzone w program i wskazówki metodyczne. Brzeziński ucząc swoich współpracowników pisała dla ludu zwracała uwagę na to, że czytelnik wiejski, może nie znać żadnej innej książki. Przez tę jedną, którą dostaje do ręki, musi być całkowicie wprowadzony w treść i światło literackie.

Pokolenie młodszych idące na wieś uczyć się spraw ludu i szukające w surowości życia wiejskiego hartu do pracy własnej, wysunęło nowy program działania dla inteligencji z miasta.

Również siostra ideowa Ireny Kosmowskiej Jadwiga Dziubińska po rocznych doświadczeniach pracy oświatowo — wychowawczej we wsi Chwoliłboskiej — pisała:

„Rzuciłam tam trochę światła i co dalej? Wracać tam, czy jechać znów w inną stronę i znów we wsi rok przesiedzieć i znów śać bunt przeciwko takiemu życiu i tę skromną oświatę?”

W rezultacie powzięła myśl organizowania szkół rolniczych na wsi.

Irena Kosmowska włączyła się w ów nurt pracy J. Dziubińskiej. Staneła obok twórczyni szkół rolniczych, jako współzałożycielka i fundatorka szkoły dla dziewcząt w Krasieninie.

Z własnych pieniędzy i z zebranych w salonie rodziców funduszy, nabyła po parcelacji majątku ośrodek siedmiohektarowy z pałacem, w którym pierwszy kurs nauki uruchomiono w 1911 r.

Do chwili aresztowania przez Niemców za ostatniej okupacji I. Kosmowska żywo interesowała się losami szkoły w Krasieninie. Wszystkie swoje urlopy tam spędzała, wnosząc zawsze swoją pracę i myśl serdeczną. Od nauczycieli przedmiotów ogólnokształcących przyjmowała wtedy na siebie wiele godzin języka polskiego, historii i zagadnień współczesnych. Mówiła prosto, barwnie. Najchętniej dobierała tematy o charakterze emocjonalnym. Realizowała wtkiewiczowską pedagogiczną teorię wyrażającą się w słowach: „rozwoj społeczny osiąga się nie przez kształcenie pojęć — lecz przez kształcenie uczuć”.

Pomagała sobie poezją. W wykłady wplatała gesto Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Tetmajera, Kasprówicza.

Organizując własną szkołę rolniczą w Krasieninie wypracowała wspólnie z Dziubińską i Radlińską podstawy ideowe i wytyczne programowe tych szkół. W roku 1909 na II-gim Polskim Kongresie Pedagogicznym we Lwowie I. Kosmowska wygłosiła referat o ideologii szkół rolniczych.

„W wychowanków naszych wpajamy potrzebę inicjatywy, przedsiębiorczości, rozbudzamy w nich charakter, uczymy umiejętności życia, rozwijamy światopogląd oparty na idealizmie. Wszystko to osiągamy, nie teoretyzując lecz wzbudzając zamiłowanie do działalności ludzi, po których żywe przykłady sięgamy do historii. Kierunek ten oczywiście nie lekceważy wiedzy zawodowej oraz zaprawienia umysłu do ścisłości i jasności sądu, lecz jest to kierunek głównie wychowawczy, mający za cel raczej rozwój uczucia i woli”.

Sztukę trafiania do ludu i odgadywania jego najskrytszych myśli nabywała drogą również osobistych kontaktów z ludźmi poprzez pracę w redakcji pism „Zarania”, „Wyzwolenia”, „Zielonego Sztandaru”, przez wykłady na kursach oświatowych, sekretarstwo w Instytucie Oświaty i Kultury im. Szczęsica, potem rozjażdzy z tytułu obowiązków poselskich.

„Zaranie” było to pismo tygodniowe ilustrowane, charakteru ogólnokształcącego i społecznego, zawierające nadto wiadomości fachowe z zakresu rolnictwa oraz przemysłu. Wychodziło ono przez siedem lat od 1907 r. pod redakcją M. Malinowskiego i Nocznickiego. Pismo to skupiało czytelników i korespondentów chłopów ziemi byłego zaboru rosyjskiego. Przez „Zaranie” szła myśl postępu i inteligencji skupiającej się w obozie ludowym, pobudzająca masy chłopskie do oświaty i społecznego działania.

Pismo to wywierało taki wpływ na terenie wsi Królestwa Kongresowego, że stało się siłą powodującą samodzielną społeczno — polityczny ruch chłopski.

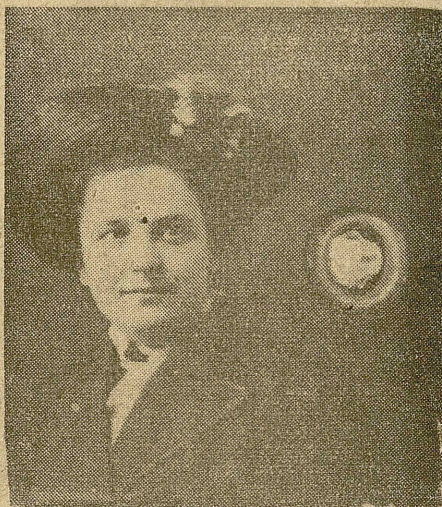
W Warszawie Brzezińscy, Faustyna Mo-

rzycka, we Lwowie Wyslouchowowie rozwinęli i wykształcili formy pisarstwa dla ludu. Do dziś we wsi Barłogi pow. Puławski chłopci ze wzruszeniem wspominają wieczory czytania głośnego książek wymienionych autorów, datowanych im przez I. Kosmowską.

Z wynurzeń Kosmowskiej pamiętam, że szczególnie podczas swoich studiów we Lwowie lubiła czytać artykuły M. Wyslouchowowej. Brała z niej wzór, marząc o podobnym wypowiedzianiu najgłębszych uczuć w sposób jasny, żywy, trafiający do serc i umysłu chłopów.

Myślę, że nawet bez wnikliwego badawczego spojrzenia w pracę redaktorską Wyslouchowowej we Lwowie, a później Malinowskiego i Kosmowskiej w „Zaraniu” można przeprowadzić analogie pomiędzy funkcją Marii Wyslouchowowej a Ireny Kosmowskiej w redakcji.

Obydwie z dużym talentem pedagogicznym kształciły korespondentów, budząc w nich śmiałość i chęć pisania. Często intuicją kierowane, wydobywały najzdolniejszych poetów, pisarzy z odległych prowincji. Ułamkowo zebrana korespondencja własna i redakcyjna Kosmowskiej, ośmiela do stwierdzenia że pracowała jednocześnie w dwu redakcjach: pisma wychodzącego drukiem i czegoś, co mogłoby mieć nazwę korespondencji



Irena Kosmowska

poradnika samokształceniowego. Długo po śmierci ukochanego poety Podla... mówiła z chlubą o postępach, jakie czyni młody poeta chłopski rod wpły... nym mu przez redakcję książek i uwag krytycznych czynionych piśmiennie i ustnie o jego twórczości.

Kosmowska za przykładem cenionych przez siebie popularyzatorów, podjęła samą próbę popularyzacji wiedzy. Pierwszą broszurę o „Weselu” Wyspiańskiego napisała przez nią, wydała Maciej Szkoła we Lwowie. Z okazji sprowadzenia zwłok Słowackiego, napisała broszurę p.t. „Kto to jest Juliusz Słowacki?”

Jak sama pisze w „Zaraniu”, pragnęła, by „skarby myśli i uczuć Słowackiego przeniknęły do duszy umiłowanego przez nią rolnika”. Również siostra jej H. Radlińska pierwszą swoją publikację wydała pod tytułem: „Kto to był A. Mickiewicz?”

Zaznajamianie ludu z wieszcami polskimi było nie tylko potrzebą osobistą młodych idealistów, najchętniej wypowiadających się w „górnych” słowach, wyrażała się przez nie treść i postawa ideologiczna — epoki, w której zaczynały one swoją twórczość literacką i działanie społeczne. Romantyczne hasła budzące wiarę w wartość sił ludowych były dla nich podniętą i wskaźnikiem filozoficznych dociekań na temat celu życia i uzasadniania jego sensu.

Nawiązany kontakt z młodymi w okresie zaraniarskim przez redagowanie dodatku „Między idą” utrzymywała Kosmowska nadal redagując w latach 1918—1920 „Wyzwolenie” i pismo dla młodzieży „Świt”.

W okresie 11-letniego poselstwa i żywej działalności politycznej Kosmowska pisywała artykuły polityczne. W artykule „Czy młodzież ma stronić od polityki?” („Zielony Sztandar” 1933 r.) odpowiadała na zalecenie min. Poniatowskiego, aby młodzież unikała polityki, pisała: „Ja nazywając się „starą przyjaciółką”, pozdrawiam młodzież wiejską, jako bojowników i budowniczych Polski Ludowej, jako czołowy zastęp żywej i świadomej, więc politycznie czynnej, gromady chłopskiej”.

POSŁANKA KULTURY SEJMOWANIA.

Irena Kosmowska pamiętana jest przez współczesnych przede wszystkim jako posłanka.

Związana przez swój Krasienin i prace oświatowe prowadzone z Warszawy z Lubelszczyzną otrzymała z tej ziemi poselski mandat zaufania niemal jednomyślnie z listy wyborczej „Wyzwolenia”.

Weszła do pierwszego Sejmu Ustawodawczego w 1919 r. razem z J. Dziubińską. W parlamencie zasiadała przez 11 lat, do chwili pamiętnego zamachu kilku sanacyjnej na Izbe Ustawodawczą, którą rozwiązał Prezydent Mościcki w dn. 30 sierpnia 1930 r.

Kosmowskiej

Irena Kosmowska będąc posłanką grupy „Wyzwolenia” w Polskim Stronnictwie Ludowym stała na skraj lewego skrzydła chłopskich ugrupowań politycznych. „Wyzwolenie” — nazwa, przyjęła się od pisma organu Polskiego Stronnictwa Ludowego — była to grupa polityczna, rekrutująca się głównie z chłopów ziem b. Królestwa. Przejęła spuściznę ideową i programową „Zarania” grupa „Wyzwolenie” dynamizowała cały polityczny ruch chłopski hasłami walki o rząd włościańsko-robotniczy, taki, „który nade wszystko będzie miał odwagę szczerze się oprzeć na najszerzych masach ludowych, a nie będzie szukał własnego spokoju tylko w ustępstwach i kompromisach” (z uchwały zjazdu w 1921 r.). Postawa walki odróżniała „Wyzwolenie” od grupy „Piasta”, której przewodniczył W. Witos znany z kompromisowej polityki.

„Walczyć będziemy nieustannie, aż do zupełnej poprawy stosunków” — wołali „Wyzwoleniacy” na dorocznym swoim zjeździe w 1921 r. w Warszawie. Kończąc zjazd postanowieniem, że dążyć będą „do całkowitego przejścia władzy państwowej w ręce ludu”.

Kosmowska występowała na terenie Sejmu w sprawie planowanej akcji odbudowy. Zwracała uwagę na zniszczenie wojenne wsi

Głęboko zainteresowana spółdzielczością występowała na terenie parlamentu o uchwalenie ustawy o spółdzielniach. Czynna była w komisjach i na plenarnych posiedzeniach sejmowych przez wszystkie trzy kolejne okresy kadencji. „Jedyną i niezastąpioną” była w roli sekretarki Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych.

„Starałam się wniknąć w potrzeby polskiego wychodźstwa i współdziałać wedle możliwości w ich zaspakajaniu” — wspomni po latach o tym okresie swej pracy.

Materiały obrad komisyjnych opracowywała starannie. Szczególną uwagę przykładła do korespondencji z zagranicznymi placówkami polskimi. Bywało, że z referentami poszczególnych spraw wnoszonych na komisję uprzednio przygotowywała formę, a nawet treść przemówień. Cieszyła się dużym zaufaniem kolegów posłów, nawet z krańcowo przeciwnych obozów partyjnych. Pozyskiwała ich szczerą w wypowiedziach planów i koncepcji swojego klubu, co godziło niekiedy w taktykę politycznego działania. Nie odczuwała antagonizmów nastawień, występujących często u ludzi jako wynik walki politycznej. Zastępną z tego, że zawsze godziła najbardziej skłóconych ze sobą parlamentarzystów. Sama przemawiała mocno i kategorycznie nie obrażając nikogo. Wnosiła ze



Pożegnanie Ireny Kosmowskiej przy wyjeździe z Krasienina 1937 rok.

i podsuwała realne formy pomocy ludności wiejskiej, zniszczonej przez wojnę. Już za pierwszej kadencji poselskiej przyjęła przewodnictwo Komisji Opieki Społecznej. Była członkiem komisji konstytucyjnej.

sobą dużą kulturę słowa i kulturę form obcowania.

Była posłanką postępowej myśli chłopskiej w Sejmie, była też posłanką kultury sejmowania.

Wanda Brzeska

OPOWIEŚĆ O „KUCZYMUNI”¹⁾

Z tomu „Garść ziemi”, który ukaże się niebawem w druku.

Siedzieliśmy już dwa miesiące w „kuczymuni”. To była jama w ziemi po wyrwanym kłonie. Nasza mama gdzie poszła — nie było mamuni, Była siostra, kot Tobiasz i mały Leonek.

Sklepów nie było żadnych i domów niewiele. Najpierw był długi parkan, a potem boisko. Potem znów płot bez sztachet i znowu parcele I jeszcze jeden parkan. Już koło nas blisko.

W „kuczymuni” był termos, była woda, świeca. I po babci poduszka, w worku skórki chleba. Na dzień — łuski sypało się na otwór pieca. Z wierzchu nie znać nie było. Wszystko tak jak trzeba.

W „kuczymuni” był pieńek, dobry do siedzenia. I była skrzynka z węglem, tylko że już pusta. Siostra wciąż na nią patrzy i nie prócz patrzenia. Nie robi. No i palec wciąż kładzie na usta.

Nasz Leonek ma mocno owiazaną głowę. Ażby nie mógł głośno ni płakać, ni wołać. Ma skądś od „hulajnog” dwa kółka gumowe I wielkiego, czarnego od sadzy anioła.

Nam było bardzo dobrze... eicho, pomaleńku... Czy lepiej było wtedy, kiedyśmy zebrali? Siedzimy wszyscy troje tak sobie na pieńku. Przodem — każde oddzielnie. Bo by nas poznali

Jest właśnie taka pora, co już nie jest nocą. Ale jeszcze dniem nie jest... może za godzinę... Mnie się ciągle wydaje, że gdzieś w drzwi komora. Teraz jest na mnie kolej wpatrywać się w skrzynkę.

— „Niech nam się zdaje”... Siostra dokończyć się boi. Kot ogon jak drut wygiął i cichutko syczy. Nad naszą „kuczymunią” dwóch zandarmów stoi Z psem policyjnym na smyczy.

Siedzimy i grzejemy ręce o Tobiasza. Leonek popłakuje — myśmy byli bosi — „Niechaj nam się wydaje — rzekła siostra nasza — że ten dom to igloo²⁾. A my Eskimosi.

Z czego tam się koszule wyrabia? No, z czego? Ze skórek zszytych razem. Ze skóreczek ptasich! A do lamp to się wlewa tłuszczu tranowego I dniem czy nocą lampy w igloo się nie gasi.

W igloo lampy duże, okrągłe jak kule... Niechaj nam się wydaje, żeśmy Eskimosi, I że nam bardzo ciepło, bo mamy koszule. Takie, co to piórkami do wewnątrz się nosi...”

Jak ta siostra umiała... O dzungli, komyskach, O boi, co wciąż tonie i wciąż się ratuje — Leonek nie rozumie, ale płacz ucisza, A pióreczek łojówki po ścianie wędruje.

Jak szybko czas ucieka! Jak szybko czas leci! Teraz o lwie historia — chował niemowlęta, A potem o wilczyce, co karmiła dzieci. O tym, jak dziecko w dziupli chroniły zwierzęta.

O rzece, której fale kryształami płyną, A w niej królowie świata będą konie poić, O lewku i młodzieńcu, co niebacznie zginął, Bo wodę z niej zaczerpnął do dwunastu słoje.

A w końcu bajka z głowy! Pewno było rano... O Tozbirku-zbójniku z jakiejś Demanicy, O tym, jak wielki garnek klusek ze śmietaną Zbójnikowi z plebanii znieśli do piwnicy.

¹⁾ Kuczymunia — w języku dzieci schron podziemny; wzmiankowane w książce „Dokumenty zbrodni i męczeństwa”, Kraków, 1945 r.

²⁾ igloo — lepianka ze śniegu i lodu.

Uchwały Kongresu

SKONFISKOWANO

Niemal cotygodniowa historia lewicowych pism w dobie sanacji: skonfiskowany numer „Zielonego Sztandaru”.

NIE ZNAŁA KOMPROMISU WYBRAŁA RADYKALIZM

Z ławy sejmowej odeszła Kosmowska z całą grupą parlamentarzystów lewicowych i socjalistycznych. Odrzucała po rozwiązaniu Sejmu w 1930 r. stanęła twarde do walki z faszyzującą Polską sanacją.

Wybory do nowego Sejmu, które by rządowi zapewniły uległość wobec jego dyktatorskich poczynań, poprzedził rozkaz Sławoja Skłodowskiego, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Rozkaz nakazywał aresztowanie szeregów posłów i działaczy opozycyjnych, których osadzono w twierdzy w Brześciu n/Bugiem.

W cztery dni po aresztowaniu „pierwszej transzy”, (tak nazwał adwokat Szumański podczas procesu politycznego I. Kosmowskiej w Lublinie grupę pierwszych uwieczonych opozycjonistów rządowych przed wyborami 1930 r.), Wincentego Witosa i Dr Władysława Kiernika z „Piasta”, Kazimierza Bagińskiego i Dr Józefa Putka z „Wyzwolenia”, Norberta Barlickiego i Dr Hermana Liebermana, Dr Adama Pragiera, Stanisława Dubois i Mieczysława Mastek z PPS, z N.P.R. Karola Popieła, ze Stronnictwa Chłopskiego posła Adolfa Sawickiego i innych, I. Kosmowska na wiecu politycznym w Lublinie wystąpiła odważnie z ostrą krytyką rządów Piłsudskiego.

„Jestem przygotowana na to — mówiła, — że za to, co teraz powiem, mogę być aresztowana, lecz nie mogę powstrzymać się od powiedzenia, że p. Piłsudski jest obłąkańcem i że pozostajemy pod rządami obłąkańca”.

Zamiast do Warszawy, pojechała na Zamek lubelski. Nazajutrz „Robotnik” obwieścił: „Aresztowana ob. Irena Kosmowska od wczesnej młodości oddana była pracy oświatowej wśród ludu”.

Orzeczeniem Sądu Okręgowego w Lublinie w dniu 23 września została wypuszczona z więzienia za kaucję złotych 500 i powróciła do Warszawy.

Z tygodnia na tydzień pogłębiała się przepaść pomiędzy społeczeństwem a reżimem.

SKONFISKOWANO

Stanowisko Stronnictwa Ludowego

Nawożenie żołądków

W składowym kabinie... 1) Kongres wyraża... 2) Kongres wyraża... 3) Kongres wyraża... 4) Kongres wyraża... 5) Kongres wyraża... 6) Kongres wyraża... 7) Kongres wyraża... 8) Kongres wyraża... 9) Kongres wyraża... 10) Kongres wyraża...

Prasa opozycyjna ulegała stałym konfiskatom. Irena Kosmowska nie zaprzestawała pracy w redakcji. Współredagowała „Zielony Sztandar” — organ Stronnictwa Ludowego, nie bacząc na to, że całe stronicie pisma wychodziły z cenzury bez jednego słowa redakcji — z wielkim tylko napisem „Skonfiskowano”.

O uchwałach Kongresu S.L. w 1933 r. dowiedział się czytelnik tyle tylko, co „Robotnik” — przemycił o stanowisku Stronnictwa Ludowego.

„Stronnictwo Ludowe przeciw i dążyć będzie nadal całą siłą do takich zmian w obecnej konstytucji, które by z jednej strony zapewniły siłę rządów, z drugiej gwarantowały obywatelom konieczne wolności, a narodowi wpływ na rząd i kontrolę nad nim”.

Obok pracy w redakcji „Zielonego Sztandaru” I. Kosmowska nakreśliła formy i metody politycznego kształcenia kobiet wiejskich.

Imieniem matek, siostr i żon aresztowanych chłopów za strajk i manifestacje nowosieleckie apelowała do Prezydenta, u którego posłuchania nie uzyskała i przedłożyć sprawy obojętne głowie Państwa już w 1937 nie mogła.

Nie jedną misję w podobnych sprawach odbywała zwiastującą u Ministra Spraw Wewnętrznych, będąc czynnym członkiem Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Szczególnie absorbowano Kosmowską sprawę wpływającą do Ligi po rozruchach we Lwowie i Krakowie 1936 r., kiedy władze wojewódzkie w sposób bezwzględny pogwałciły prawa robotników do strajku. Za ofiarami strajkujących, szła organizacja zebranych protestacyjnych, pisanie odezw, rezolucji, komunikatów do bratnich związków i organizacji. Czynna w tych pracach była Kosmowska, a dom jej stał się miejscem schadzek osób zmuszonych wkraczać coraz głębiej w podziemia życia państwowego. Przyszło i do tego, że swoboda życia we własnym mieszkaniu została naruszona przez rewizję i czujnych wywiadowców. Mieszkanie na Nowogrodzkiej stawało się coraz mniej bezpieczne, a sama Kosmowska coraz bardziej prześladowana i szkanowana. Znała dobrze stosunki w Polsce ostatnich lat przedwojennych, i pogarszanie się sytuacji wsi. Widziała bez nadziei swoich zmagających. Zapragnęła pójść na emigrację — śladami „Pana Balcera” — do Brazylii. Nie za zarobkiem, za spokojem umożliwiającym działalność. Wzbogacona doświadczeniami pracy z lat 1915—1918 na zesłaniu w Rosji, gdzie pracowała wśród wychodźstwa polskiego, powróciła znów do tej myśli teraz. Do bardzo wczesnej myśli, z zarańia jej pracy dla ludu. Wówczas to już miała zamiar iść wzmożenie siły polskiego chłopca na wychodźstwo.

Kosmowska ma teraz 60 lat i wraca pańskie marzenie. Mówi ono wiele i o straszonym położeniu ludu chłopskiego - robotniczego, które mógł pod koniec II-giej Rzplitej tak mocno przynęcić działaczka tej miary i z tego gatunku wiecznych entuzjastów, co Kosmowska. Mówi też o rodowodzie wpływów społeczno-kulturalnych, kształtujących młodość pokolenia Kosmowskiej i ich niszczącej siły.

Zastała ją wojna w Warszawie. Już pierwsze lata konspiracji odnowiły w niej nadzieję na nową, przemienioną społecznie Polskę. Mieszkanie Kosmowskiej staje się znów miejscem schadzek — porozumień i planów. Aresztowana i więziona, zmarła Irena Kosmowska w szpitalu w Berlinie w 1945 r.

Helena Brodowska

W OSTATNIM NUMERZE 17 (146)

z dnia 25 kwietnia 1948 r.

Jan Al. Król — W promieniu pięćdziesięciu wsi; Jakub Litwin — Pierwszy czy „Ostatni etap”; Leonard Sobierajski — Dwie obrony; Julian Rogowski — O literaturze obozowej; Stanisław Cieślak — O Czechosłowacji, o nas i optymizmie; Listy polityczne — Przed reformą oświatową; Marian Narceyz Listowski — Na prowincji — myszy; Stefan Ignar — Ruch zaraniarski; Franco Fortini — Zyciorys włoskiego intelektualisty; Bronisław Majteczak — Wiersze; Leon Gomolicki — Folklor jako zagadnienie społeczne; Listy z Zachodu: Józef Czerni — Szczecin; Władysław Leszczyński — Wrocław; Zdzisław Skwarczyński — Egzotyka wiejska dla inteligencji?; Wołanie na puszczy; Genowefa Szturhaniec — Nie robmy Greków; Znacze ich: Bartosz — Krótka rozprawa między wójtem a plebanem; Demokraci nawróćcie się; Kiedy się zwiedza fabrykę; List wicelara Idealisty; Komunikaty; 19 ilustracji; stron 12.

Leon Gomolicki

LUD, OBROŃCY LUDU I „LUDOMANI”*)



Aleksander Niewierow (1886—1923)

1.

I COŻ NA TO TEN LUD?

KIEDY podróżny po skromnym posiłku nalał do filiżanki kawy, „racząc się” płcnami potu nieszczerliwych niewolników afrykańskich, gospodyni ubogiej chałupy, gdzie miała miejsce ta scena, wystąpiła synka, aby wybrała kawałek cukru, „tego bojarskiego jedzenia”.

— Dlaczego bojarskiego? — zapytał podróżny oddając chłopcykowi resztę cukru, — czyżbyście nigdy tego nie jedli?

— Bojarskiego, bo nie mamy za co go kupić, a bojarowie kupują, bo mają gotowe pieniądze. Wprawdzie i starosta nasz kupuje cukier, kiedy jedździ do Moskwy, ale również za cenę naszych łez.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że każdy, kto używa cukru, zmusza was do płaczu?

— Nie wszyscy, ale wszyscy z panów szlachty. Czy nie pijesz łez swoich chłopów, którzy żywią się takim samym chlebem jak my?

Mówiąc to gospodyni pokazała kawałek chleba, upieczonego z maki zmieszanej w połowie z plewami.

— Cóż wam do tego, panowie, że jesteście cukier, a chłopci przynierają głodem. Mnie, dzieci, konają i dorosli.

Rozmowa ta odbyła się w wiejskiej chałupie, której całe urządzenie świadczyło o skrajnej nędzy. Piec bez komina, drewniane ściany i nagie stropy zakopconego sufitu, słabe światło dzienne sącające się przez smugi dymu i pecherze wołowe, zastępujące szyby w oknach. Łachmany i łapcie kontrastowały z aksamitnym kaftanem i żabotem podróżnego, którym był pierwszy rosyjski pisarz-rewolucjonista, zwalczający prawo pańszczyzny Aleksander Radiszczew.

Te same łachmany i łapcie, podobne do strojów Scytów z ceramicznymi ornamentami greckimi, przetrwały czas pańszczyzny.

We wsi Michajłowskiej kontrastowały z obcisłym surdudem, krawatem à la Byron i laszczką angielską kędzierzawego panicza z rodu bojarów Puszkłnow; we wsi Spasskoje — z cylindrem przyjaciela Flauberta i Prospera Merimée’go Iwana Turgieniewa. Ci pierwsi obrońcy chłopów i przeciwnicy pańszczyzny pochodzili z panującej klasy i byli ziemianami. Demaskując prawo sankcjonujące niewolnictwo, p.sługiwali się argumentami etycznymi i ekonomicznymi. Radiszczew pisał: „Zwierzęta zachłanne, plajki nigdy nienasycone, coż pozostawiamy dla chłopów? To, czego odebrać mu nie jesteśmy w stanie — powietrze. Tak — samo powietrze”. Dowodził jako humanista, że niewolnictwo jest niesprawiedliwością wobec zasad ludzkości; jako polityk — że jest ono niebezpieczne, bo grozi buntem chłopów; jako ekonomista — że jest niekorzystne.

Młody „przyjaciel ludzkości”, który po ukończeniu liceum szlacheckiego po raz pierwszy zetknął się z życiem wiejskim, dziewiętnastoletni Puszkłnow utrwalił w wierszu „Wieś”, za który m. in. został zesłany, obraz pańszczyźnianego ucisku: „powszechna hańba ciemnoty”, „dzikie” obyczaje dzieciaków „przywłaszczających sobie prawem różni” pracę, własność, czas i nawet życie rolnika. Turgieniew pokazał moralną przewartość chłopów nad „kulturalną” i „szlachetną” klasą ich właścicieli. Jego „niebezpieczna” książka, godząca w ustrój feudalno-pańszczyźniany „Wspomnienia myśliwego” została określona przez ministra oświaty jako pamflet na stan ziemiański. „Rozpowszechnienie tak ujemnej opinii o ziemianach, — pisał minister w poufnym raporcie do Mikołaja — bez wątpienia może wywołać pomniejszenie szacunku do szlachty wśród czytelników należących do innych stanów”. Krytykując swoje środowisko szlachta o poglądach demokratycznych i liberalnych skłonna była kosztować jego idealizację ciemnego i wyzyskiwanego chłopów. Podłożem tego idealizowania było przekonanie przedstawicieli radykalizmu humanitarnego, że chłop własnymi siłami nie potrafi uzyskać wolności. Usilowali więc oni wywołać współczucie wśród tych, którzy mieli możliwość oddziaływania na zmianę losu ludu wiejskiego.

*) Patrz, część I-sza cyklu: „Folklor jako zagadnienie społeczne” — „Wieś” Nr 17.

2.

Rok 1861 był przełomowym w dziejach humanitaryzmu szlacheckiego. Po zniesieniu pańszczyzny zabierają głos w polityce i literaturze tak zwani „raznoczyńcy”, ludzie różnych stanów, przeważnie pochodzący z rodzin duchownych i drobniomieszczańskich. Ich napływ i osłabienie sił szlachty były wywołane głębokimi przemianami ekonomicznymi, które zachodziły w społeczeństwie rosyjskim. „Raznoczyńcy” spojrzeli na wieś oczami bezstronnego obserwatora. Rozłam w redakcji „Sowremiennika”, który wówczas reprezentował ugrupowanie demokratów ludowych, szedł właśnie po linii oceny czynnych sił masy chłopskiej. Po opuszczeniu redakcji przez Turgieniewa, Gonczarowa, Iwana Tolstoja i Grigorowicza, dookoła pisma zwała się grupa „raznoczyńców” z Czernyszewskim, który stawiał na rewolucję chłopską, na czele.

Pierwszą książką o nowym spojrzeniu na chłopów były „Szkice z życia chłopskiego” Mikołaja Uspieńskiego (kuzyna Gleba Uspieńskiego), które ukazały się właśnie w roku 1861. Czernyszewski przywitał je artykułem „Czy nie początek przemiany?”. „Uspieński”, — pisał w tym artykule, — podaje całą prawdę o chłopie bez żadnych upiększeń. Istotnie „szkice” pisarza-raznoczyńcy zawierały gorzką srową prawdę, która miała zastąpić iluzje idealistów pokutujące wśród szlachty. „Należy uznać opowiadania Uspieńskiego”, — pisał Czernyszewski, — za zjawisko bardzo pocieszające, chociaż treść ich nie zawiera żadnej pociechy”. Pocieszające było to, że książka Uspieńskiego opierała się na konkretnym materiale, oraz wskazywała na możliwości, ukryte w siłach samego ludu. Ale powodzenie jej było chwilowe. Wkrótce grupa „Sowremiennika” została zlikwidowana przez rząd. Aresztowanie Czernyszewskiego i bankructwo nadziei, że wybuchnie rewolucja chłopska, spowodowało nawrót do dawnych nawyków w idealizowaniu ludu. „Narodnicy” zamykali oczy na ujemne strony życia chłopskiego, uważali chłopów za „człowieka przyszłości”, urodzonego socjalistę, a gmin wiejski — za organiczną komórkę socjalizmu. Uspieńskiego nie tylko nie czytano, lecz nawet potępiano jako pisarza, który dopuścił się potwarzy i złożeń pod adresem chłopów. Wytrąciło to pióro z rąk Uspieńskiego. Sumienie nie pozwoliło mu pisać inaczej. Pisarz zaczął pić, stołczył się na pozycje lokatora domów noclegowych. „Wygląda na prawdziwego dziada”, — pisał o Uspieńskim w tym okresie Czukowski, — na jednej nodze kalosz, broda rozczochrana, kolana dygocą, chodzi i zerze o kieliszek na kredyt, którego mu odmawiają, przepędzając... Nie trwało to długo. Uspieński popełnił samobójstwo, przecinając gardło szczyrzykiem, kupionym za ostatnie grosze.

3.

Ale nie ziszczyli się również i nadzieje „narodników”. Spowodowało to reakcję wzmożoną zmierzchem socjalnym szlachty ziemiańskiej. Bankructwo idealistów i zawód życiowy złożyły się na naturalistyczne, ujemne konkluzje pisarzy inteligentów, którzy zaczęli widzieć w życiu chłopów samą ciemnotę i zdziwienie moralne. W ten sposób przedstawiała się sprawa ludowa w literaturze rosyjskiej na przełomie XIX i XX wieku. Sam lud, który z niewolnictwa feudalnego dostał się do niemniej okrutnego niewolnictwa ekonomicznego kapitalizmu był jeszcze za mało uświadomiony i uświadomiony, aby wziąć udział w walce politycznej, prowadzonej w jego imieniu. Bo obok postępowych intelektualistów wyrażu „lud” nadużywali również konserwatyści różnych odcieni od mistyków słowianofilów do arystokracji biurokratycznej, dla której całe imperium rosyjskie razem z masą ludową było prywatną własnością głównego dziedzica-cara. W praktyce salonów literackich i prasy konserwatywnej byli to bibliomani, zwolennicy „sentymentalizmu feudalnego”, wyhodowanego na wzorach normatywnej poetyki klasycznej, później epigoni romantyzmu i wreszcie „narodnicy”-liberalni, którzy nie rozumieeli istoty przemian zachodzących w masach ludowych i popierali górne warstwy bogatego chłopstwa. W ich siłach wpadały jednostki z ludu, poeci samorodni, pisarze-sa-

moucy, którzy zaczynają napływać do literatury w okresie wczesnego romantyzmu. Protektorzy ze stolicy okazywali im serdeczne powitania i zgodnie ze swoimi upodobaniami kierowali na utarte ścieżki przebrzmiałej mody literackiej. Dla pisarzy samouków wydawca Swinlin założył specjalny miesięcznik „przemysłu, etnografii i historii” — „Ołtieczestwiennye Zapiski”, który ukazywał się jako organ konserwatystów w latach 1813—1830. Wówczas gdy chłopcy zmagali się z uciskiem feodalów pańszczyźnianych w niustających falach żywiołowych buntów, tworząc pieśni, przesiąknięte nienawiścią do klasy panującej, pojedyncze talenty samorodne zgłaszały się do protektorów stołecznych po odnaczenie i dary carskie za cenę wyrzeczenia się ideologii chłopskiej. Stają się oni producentami sielankowej namalstki poezji ludowej, obliczonej na gust degenerującej się szlachty. Podobne zjawiska mamy również w pierwszej ćwierci wieku XIX, jak i pod koniec stulecia i w ostatnich latach przedrewolucyjnych.

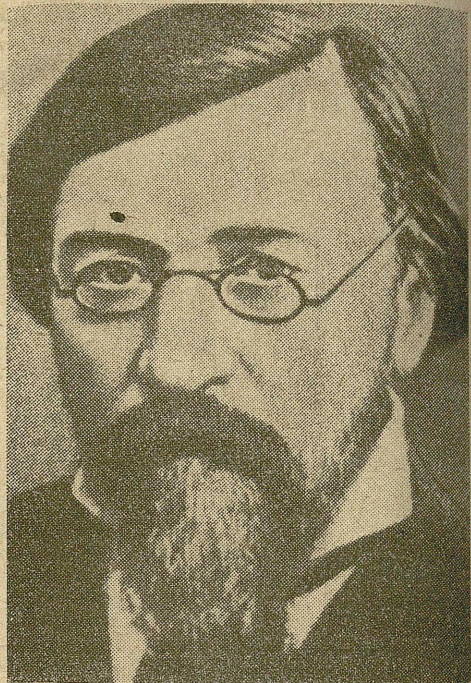
„OKRZESANIE” TALENTÓW SAMORODNYCH

Jedną z pierwszych barwnych postaci wśród takich talentów samorodnych był Teodor Slepuzszkin (1783—1848), wstawiony jako „rosyjski Heziod i Teokryt”, albo na gust bardziej romantyczny — „rosyjski Burns”. Można tego świata zasypały go darami i nagrodami. Akademia Nauk odznaczyła go srebrnym medalem, Mikołaj przysłał kaftan, haftowany złotem. Jeden ze współczesnych Slepuzszkiniowi literatów, Burnaszew, tak opowiada o pierwszym z nim spotkaniu, które nastąpiło w salonie tłumacza i satyryka Wojewjewa: „Do pokoju wszedł gość, który zafarbował mnie strojem i w ogóle całą powierzchownością. Był to krep, otyły brodac rosyjski, ostrzyżony jak kupcy, w kruzale, o krótkiej twarzy, uśmiechnięty, wystrojony w zielony kaftan, tak zwany „darowany”, który był ozdobiony złotymi galonami na piersi, na rękawach i na polach, oraz pasem ze złotych frendzli. Wojewjewa, spostrzegłszy tego złotego człowieka, bardzo uradowany przywitał go okrzykiem: „A! Burns rosyjski! Teodorze Nikiforowicz, jakże się cieszę!” i uściśnął brodacę, całując go. Tamten natomiast dziękował za otrzymane dary, nie ukrywając, że kaftan i medal sprawiły mu wielką radość.”

W jaki sposób odbywało się „okreszanie” samorodnych talentów, widzimy na przykładzie wiejskiego parobka Piotra Borisowa, który zgłosił się po protekcję do byłego ober-prokuratora senatu i ministra sprawiedliwości, Iwana Dmitrijewa. Dmitrijew przyjął go serdecznie i jako pierwszą próbę kazał mu napisać „cośkolwiek z powodu zgonu cesarza Aleksandra I-go”. Rektor uniwersytetu moskiewskiego, do którego Dmitrijew skierował Borisowa, również zamówił u niego ode o kolicznościową na akademii uniwersytecką. Wkrótce Borisow zjawił się u Swinlina w redakcji „Ołtieczestwiennye Zapiski” z listem polecającym, w którym jeszcze jeden protektor samouka wyrażał życzenie, aby protegowany „uszlachetnił zaletami osobistymi swoje pochodzenie, służąc społeczeństwu wrodzonym talentem z korzyścią i wdziękiem”.

W tym okresie poeci samorodni w rodzaju Slepuzszkina prześcigali najbardziej reakcyjnych pisarzy w sztuce schlebiania carowi i potentatom. Oderwani od korzeni ludowych, a jednocześnie pozbawieni często elementarnego wykształcenia, łatwo ulegali ideologii sfer panujących. Tak na przykład szeregowy M. Biełkin lub kapral M. Wieriołkin pisali wiernopoddane w każdym słowie pieśni żołnierskie, wychwalając „wesole” życie w koszarach z czasów okrutnika Arakczewjewa i nawołując do służenia „carowi i ojczyźnie”. „Dworski majster maszyn kanałizacyjnych” D. Aksenowski jeszcze w latach 50-tych pisał liczne ody z okazji uroczystości rodzinnych cara. Forma tej „muzy włościanki” odpowiadała jej intencjom, było to naśladowanie poezji klasycznej. W odach, sielankach i anakreontykach, pomieszanymi z liryczną pieśnią ludową amory i zefiry bawiły szczęśliwych wieśniaków, rozpiewanych i roztańczonych pod ojcowską opieką łagodnych dziedziców. Jedynie jeszcze w bajkach jednego z licznych poetów-samouków, Suchanowa, (1801—1843) występuje nieraz satyra na biurokrację i skąpstwo bogaczy, nie przekraczająca zresztą przyjętych norm feudalnej satyry klasycznej.

Samouków, którzy zgłaszali się do redakcji czasopism ideologicznych w okresie idealizacji ludu przez „narodników”, zachęcano do wzorów poezji opisowej, zabarwionej „smutkiem ludowym”. Dobrołubow w artykule o wierszach jednego z najwybitniejszych poetów pochodzenia ludowego, Nikitina, poruszał temat norm estetyki postępowego liberalizmu. „Dobrze pamiętać wskazuje przez mego profesora humanistę granice dla poezji lirycznej. Treścią wiersza lirycznego — mówił profesor — nie może być na przykład znarwienie ze zmuszoną jestem siedzieć w zimnym pokoju i nie mogę wyjść na ulicę, ponieważ nie mam butów; natomiast powinien być smutek z powodu śmierci przyjaciela, lub uczucie zachwyty wobec przy-



Mikołaj Czernyszewski

małego budynku, uroczystej procesji itp. Wówczas nie zupełnie dobrze rozumiał subtelność tych określeń, ale obecnie po bliższym zbadaniu naszej literatury, wiem o co chodziło profesorowi. Rzecz polega na tym, że rościć prawo do poezji mogą wyłącznie ludzie dobrze sytuowani, albo inaczej — ci, którzy korzystają z komfortu życiowego. Natomiast biedacy, robotnicy, ludzie prości, skazani na twarde, wyrachowane życie, widocznie nie są zdolni do subtelnych uczuć i przez to skazani na małosłowność prozy powszedniej, więc nie wolno im targać się na świętość poezji.”

W tym sensie wychowywano poetów-samouków pod koniec stulecia. Na terenie fabrycznym wielkiego ośrodka tekstylnego Iwanowo - Wozniesienskogo działał niejaki „narodnik”, dziennikarz Dodonow, autor artykułu zamieszczonego w 1900 r. w miesięczniku „Russkoje Bogactwo” pt. „Rosyjski Manchester”. W rozdziale „Poeta robotniczy” opisał Dodonow chłopów-robotników Frolowa, który pisał wiersze właśnie w takim nieszkodliwym sentymencie opisowym rodzaju. Pejzaże Frolowa uważał Dodonow za przejaw zdrowej indywidualności, która przeciwstawiał zepsuciu fabrycznemu. Zjawiska rozwoju przemysłu „narodnicy” uważali za objaw ciemnoty, „wrzód na ciele ludu”.

Nieco później w czasach symbolizmu i naturalizmu, samorodne talenty uwodziły dekadencji. Wchłaniał ich prąd literatury wyidealizowanej formalnie i wyidealizowanej treści, która była tworem degenerującego się społeczeństwa burżuazyjnego. W utworach zbłąkanych samouków pokutowały przebrzmiałe idee mistyków-słowianofilów, a w najlepszym wypadku szlachty liberalnej.

NARODZINY PISARZA LUDOWEGO

1.

Mimo złych nauczycieli i podstępnych protektorów lud wydawał jednostki zdolne i wartościowe, coraz liczniejsze i coraz bardziej samodzielne. Pierwszym ich depozytem w literaturze była intencja realistyczna, która przejawiała się zarówno w formie, jak i w treści ich utworów. Opisują oni nędzę i troski ludu, nielitościwą naturę, los niewolnika. O ile te skargi odpowiadają humanitarnym żądaniom szlachty postępowej, proteguje ona poezję samorodną.

Dla intelektualistów walczących z pańszczyzną jest ona dowodem moralnych wartości ludu.

Bierność tej muzy tylko potwierdza opinie, że lud sam nie potrafi wyzwolić się z niewoli. Tymczasem bierność ta świadczyła o czymś innym. Chodziło o to, że pierwsi pisarze-samoucy rekrutowali się z rodzin chłopskich, które już zakosztowały życia miejskiego. Ciemnota chłopów rosyjskiego, podtrzymywana specjalnie przez rząd carski była tak wielka, że do życia kulturalnego nie miał on innej drogi, jak tylko przechodząc przez warstwy drobniomieszczańskie. Zresztą w pierwszej połowie XIX wieku społeczeństwo rosyjskie cechowało jeszcze słabe rozczłonkowanie. Panująca klasa szlachty przeciwstawiona był „lud” tj. ogólna pozbawiona praw masa, reszta ludności wielkiego państwa carskiego. Mieszczaństwo głęboko zakorzenione w glebie wiejskiej, tkwiło w sferze pojęciowej stanu chłopskiego. Do miasta napływali stale chłopcy, którzy przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekali spod jarzma dziedziców, zmieniając nędzę wiejską na nędzę rzemieślnika, handlarza lub robotnika. Z tego to właśnie środowiska pochodzili w większości i pierwsi poeci-samoucy. Niemniej korzystali oni z tematyki wiejskiej i muzy swą nazywali „włościanką”. Stąd pochodzi niejasność i nieścisłość określenia w literaturze rosyjskiej XIX wieku pisarza ludowego.

Mentalność drobnego mieszczaństwa wyraża się w twórczości poetów samouków, aż do samej rewolucji 1917 roku. Nie mówię tu o takich zjawiskach jak Aleksy Kolecow, lub Iwan Nikitin, którzy pochodzili z zamożnych rodzin mieszczańskich. Mam na myśli Iwana Surikowa (1841—1880) i jego grupę, która pierwsza wystąpiła w literaturze jako zwarte koło talentów samorodnych. Rodzina Surikowa miała w Moskwie handel warzywny. Poróżniwszy się z ojcem Surikow przeżył lata ciężkiej nędzy, zakosztował bezrobocia, aby po upokorzeniu się powrócić do rodzinnego składu i ładować w nim węgiel aż do wczesnej śmierci, spowodowanej gruźlicą. Zawód

— Poeto Sulejmanie! Cztery pory roku okalały cie kolejno swoim blaskiem: zółta jesień, zielone lato, biała zima, krasna wiosna... Jak mi odpowiedzieć — w czym twoja wielkość? Gdzie zaczyna się w tobie poeta? Jakże są jego cechy?...!

OTO wieczór. Siedzimy na dywaniku w malutkiej, czysto uprzątniętej salki. Nad nami zwisa z belkowanej powały żarówka pod emaliowanym talerzykiem abażuru. Sulejman siedzi, oparty plecami o słup. Słup ten podciera powalę nie po środku, a przy drzwiach. Na słupie wisi duża, malowana wzorczyście warzachew, papacha, kształtny czungur, bicz i ubranie męskie. Lampa pali się nie jaskrawo. Czarny cień abażura chybotze się na powale. Babka dopiero co zapaliła światło, postawiła przed nami kolację i wyszła do sąsiedniego pokoju.

Sulejman czestuje mnie miodem, rozmawiamy o poezji, pijemy herbatę...

W tej salki wszystko jest, tak jak w innych. Między oknami w szerokiej ramie wisi fotografia Lenina i Stalina, ta, gdzie zdjęci są oni razem. Niżej, przez całą szerokość ściany, na wysokości parapetu przyklejone są ciastem wycięte z gazet zdjęcia Sulejmana. (Wycinki połówki, przyklejone są nierówno). Tuż obok wisi długa półka, cała zastawiona naczyniami. Nad drzwiami — czarna tarcza głośnika.

Druga ściana zajeta jest plakatami „Osoawiachim”¹⁾, na których narysowane są różne przekroje karabnu. Jest tu także stary afisz filmu „Mess-Mend”²⁾ („Nie chodź lewą stroną, chodź lepiej na „Mess-Mend”...), który Bóg wie jakim sposobem, trafił do aułu. Pod ścianą — starannie zwinięte dywany i zapasowe materace. Ogromne mosiężne miednice i dzbany stoją z boku między słupem a drzwiami. Siedzimy z Sulejmanem w samotności. Sulejman czestuje mnie miodem, rozczaczając zapach cząbry i cienkimi, dziurkowanymi widelcem, leżgińskimi czurekami.

— Chodzisz za mną jak cień — mówi Sulejman — czego ty szukasz, Habibie? Poeta nie jest ptakiem, chociaż w piersi ma ptasie serce. Tak, tak! Wiadomo przecież, że ptaki latają nie tyle dzięki sile swoich skrzydeł, ile swojego serca. Zapamiętaj to sobie! A co do mnie, to odpowiadaj śmiało: że zmiany pór roku także pomagały pocie Sulejmanowi żyć na tej ziemi. Że taki już był. Zwykły sobie starzec o ptasim sercu, które tym jest silniejsze, im bardziej człowiek pozostaje człowiekiem!...

Sulejman rozgina grzbiet i, wyciągając rękę, sięga po czungur, wiszący na słupie. (Czungur jest z wiśniowego drewna i kolor jego przypomina smagły odcień ręki Sulejmana). Sulejman bierze go w obieca zwykłym swoim gestem. Na długim gryfie pobrząskują trójkątne amulety. Pudło czungura lekko jest i krągłe, jak ptasie gniazdo.

Sulejman muska lekko struny palcami. Struny drżą. „Czy to ty? — pyta jakby przez sen. — Jak długośmy czekały na ciebie, Sulejmanie!”

Sulejman podnosi czungur do piersi i, jakby patrząc mu w twarz, chmurzy brwi z wyrazem skupienia. Na gryfie kołyszą się amulety, czungur czeka. Wówczas Sulejman chwytą w dłoń wszystkie struny naraz... Technie ta improwizacja dziwna, pradawna, kołysząca duszę zadumą. Struny dźwięczą — to z mocą, budząc w piersi odwagę i jasną dumę, to znów głucho i wtedy dręcząc żalem, dobrze znanym, od dzieciństwa doskwierającym, w którym tonie wszystko, co człowiek przeżył. Sakla wypełnia się niespokojnym, wirującym stadem ptaków. Ptaki siadają mi na ramieniu, zrywają się z miejsca i znów wirują, migając w powietrzu. Ptaki kołyszą się, siedząc na abażurze i patrzą na mnie stamtąd błyszczącymi, czarnymi paciorkami oczu. Opiętnie ich jest nietutejsze i niezwykłe. Ptaki szczebioczą trwoniąc i, posłuszne ręce Sulejmana, ciągną w jego stronę z ciepłych krajów przez nawalnice i ulewę...

...Widzę znowu dalekie obłoki. Wiatr wyżyny chłodzi mi twarz. Słońce wschodzi z dołu, kłębi się nad nim, jak płomień dymu z zora, a nad nią, z wygiętą szyją, płynnie białoroga sarna mego dzieciństwa...

Zabrała mnie niegdyś matka na daleką, wysoką górę. Górę tę tak też zwa u nas — Wysoka i dzieli ją wiele wiorst od mego aułu.

U szczytu tej góry jest pokład kredowy, skąd cała wiosna bierze kredę dla bielenia domów. Rzecz to niełatwa i chodzi się tam raz na dwa — trzy lata, po kolei...

Wysliśmy pod wieczór. Przed nami drepiał osioł z pustymi koszykami na bokach. Matka śpieszyła się. Rankiem byliśmy już na szczycie; tu, o świcie, postanowiłem obejrzeć sobie górę i, podczas gdy matka zbierała kawałki kredy, przeszedłem na drugie zbocze.

Wierzchołek pokryty był niskimi krzewami. Zabłąkałem się. Trawa dochodziła mi do pasa. Wysokie kwiaty o cienkich łodygach rosły w trawie. Kielichy miały gwiaździste, pełne rosy. Stały spokojnie i nawet

¹⁾ Sulejman Stalski (zm. w 1937 r.). Słynny ludowy poeta dagestański, który stał się prototypem bohatera powieści Effendi Kapijewa p.t. „Poeta”.

²⁾ Osoawiachim — Liga Obrony Powietrznej i Przeciwichemicznej ZSRR.

³⁾ Film „Mess-Mend” osnuty był na powieści pod tym samym tytułem, treścią której była walka ludów kolonialnych z imperialistami. Autorką powieści jest słynna pisarka radziecka Marietta Szaginian, która wydała „Mess-Mend” pod pseudonimem Jim Dollar.



Sulejman Stalski

Effendi Kapijew

tłum. Jerzy Pomianowski

FINAŁ

rzeżki wiatr ledwie — ledwie kołysał ich cienkie szypułki.

Wędrowałem coraz dalej. Nagle coś przedemną poderwało się i zamarło. W trawie pasła się sarna. Widząc mnie, zdrtwiała od niespodzianki. Stanęliśmy oko w oko. Jak dzisiaj pamiętam jej wysokość, czerwona szyję, wystraszona oczy, mieniące się fioletowym blaskiem i szeroko rozdęte nozdrza. Trwało to zaledwie chwilę. Sarna drgnęła i podskoczyła, jakby wylatując w powietrze. W popłochu nie przemyślała skoku i wówczas ujrzałem rzecz niezwykłą. Sarna rzuciła się w tę stronę, z której była przepaść. Ogromne skały zbiegały w dół urwiskami na kształt stopni. Zasnutę były sinawym dymem. Stałem, skamieniały ze strachu, tylko wtedy bowiem zrozumiałem, na jakiej wysokości się znajduję. Z dołu, poprzez śródgołę, wzbijało się kuliste słońce.

Słońce było szkarłatne i chmury na dalekich górach czerwieniły się z boku, a z góry szarzały pnieście, jak fale przypływu.

Wszystko dokoła płynęło i tylko góra stała w miejscu. Żółte kwiaty, wysoka zielona trawa, słońce, wschodzące z dołu i sarna. Czy nie przyjęła ona całego tego ranka za marę senną, jak to było ze mną? Być może, dlatego źle skoczyła, że myślała przesadzić w skoku słońce?...

...Sulejman gra melodię wstępną (zawsze tak improwizuje, towarzysząc własnym myślom). Sulejman patrzy, nie dostrzegając mnie; oczy ma dalekie i nie widzące i znów myślę o tym, że stoję u wrót tajemnicy, u źródła natchnienia poety.

Czy nie tak zaczynają się jego pieśni? Czy nie od wspomnień dzieciństwa, czy nie od ptasiego szczebiotu, czy nie od wysokogórskich, pełnych rosy, gwiaździstych kwiatów?... Znowu słyszę głos matki, wołający mnie skądś z dołu i widzę osiołka z opuszczonymi uszami, ledwie stojącego pod ciężarem koszy, pełnych białych kamieni.

Sulejman uciną nagle. (Sarna leciała nad jutrznią, zginając szyję, jak w bajce). Twarz jego tchnie spokojem. Chce mi coś powiedzieć, kładzie czungur na kolanie i mrugając ciężko, patrzy na mnie.

W tej chwili do salki wchodzi babka. No, si, suta, kaszmirowa suknie i trzyma w ręce płonąca lampę naftową „Nietoperz”.

— Dokąd to? — pyta Sulejman.

— Bawolátko zginęło — odpowiada babka, — nie ma go na pustkowiu. Sznur tylko wisi na dyszlu puruca³⁾, do którego je przywiązałam... Sama nie wiem, gdzie mam go szukać...

Sulejman namyśla się i nagle spogląda na swoją starą spode łba.

— Tu o — powiada, wypinając kieszeń swego besmetu. Macha ręką. — Gość przyjechał! Habib już czwarty raz prosi mnie, żebym ułożył pieśń o sobie. Ja tu myślę i myślę i głowa mi się kręci, a ty włazisz ze swoim bawolátkiem! Diabli go nie wezmą!

³⁾ Puruc — socha kaukazka

Ciemny świat zaczął się przejaśniać.

Pewnego poranka starzec wstał i zdumiał, patrząc na swoje życie. Starka jego, jak się okazało, przyrodziana była w kaszmir, a nie w perkal. Synowie chodzili w czapkach z białego kurpe. Na nogach miał nowe miękkie buty, zamiast rudy, wyścielanych sianem czaryków.

„Co się stało?” — zapytał starzec sam siebie. Dom, dziedziniec, sad — wszystko to zwracało ku niemu oblicze, wołając: „Dzien dobry!” Auł, niegdyś wysoki, zamknięty, rozszerzył się teraz jakby i sakla naszego starca okazała się w centrum. Jak to więc? Czemu to on, mieszkający na uboczu czuje się teraz gospodarzem tego wszystkiego, pierwszym z ludzi? Dlaczego stało się dostępne i to i owo, a ludzie, których spotykał, radzi są rozmowie z nim, radzi są spotkaniu? Dlaczego nie ma już kamienia na sercu?... Kamienia, który całe życie gniótł jego porwy. Nie ma go więcej, a w tym miejscu, gdzie kamień leżał, jak w kołysce, leży teraz malutkie niemowlę radości i przy każdym uderzeniu serca kołysze się kołyską. Dziecię rośnie...

— Prędzej, prędzej babko, daj mi wody!

Starzec przypomniał sobie bajkę, w której rybak złapał hindustańską złotą rybkę i obejrzał się; ale przecież nie był rybakiem. Przy tym — razem z nim stali się zamożni także jego przyjaciele, wieśniacy wyrobnicy, w jakim morzu, w jakiej bańce znajdziesz młodzieńcze, tyle złotych rybek?...

Dziad oddał babce dzban z wodą: to była jawa, a nie sen. Dziad ubrał się i, wzięwszy kostur, poszedł przed siebie ostrożnym, cichym krokiem.

Wkroczył do sadu i sad rozwarł się przed nim, cały w różowym blasku kwitnących jabłoni. Blask ten kładł się na drogę, na płot, na okna salki, jak zorza i starzec po raz pierwszy ujrzał wówczas wiosnę oko w oko.

Różowa mgła spływała z drzew koło niego.

Starzec patrzył na słońce przez zmrużone rzęsy. Śpiewały ptaki. Gdzieś w dole, w parowie, szemrał strumyk i zesztoroczone liście pachniały ziemią, zbudzoną przez słońce.

Wszystko było, jak zwykle... Ale dlaczego teraz właśnie świat zyskał nagłe sens? Cemu takie są piękne, czemu tak się iskrzą wilgotne gałęzie drzew? Cemu mgła zyskała na piękności, nawet góry, góry, które od dzieciństwa mu ciążyły, dlaczego one stały się tak zycielne?

Ojczyzno! Bagdadzie mój! Starzec przetarł oczy i tu przypomniał sobie, że świat zaczął ulegać zmianom od owej chwili, gdy pierwszy raz doszły do jego uszu imiona Lenina i Stalina; — było to jedno imię i znać było ono tyle, co ojczyzna, dawno przez ludzi utracona, zjawiało się w sercu samo przez się. Było to owo pierwsze słowo, które budziło się na ustach dziecka jeszcze w kołysce i starzec przyłożył dłoń do swojej piersi. To słowo nie spadło na ziemię. Wszystko co żywe je podchwyciło i, już nazwane, rosnęło, wypełniając sobą świat. To ono dźwięczało w ptasim świegocie, płynęło z dymami jutrzni, unoszone przez potoki, w migocie swoim odbijające jego blask, równy słonecznemu...

— Witaj Ojczyzno!

Starzec przypomniał sobie wówczas, że imię to zawsze było obecne w najwyższych jego myślach... Kiedy to było? W młodości.

Z dalekiej dali odpowiedziała mu młodość i starzec stał, trzymając rękę na piersi, słuchając głosu wracających do niego zza siedmiu gór jego sił. Słzy one, przynoszące mu potężne słowa — klejnoty dla pieśni i tu starzec po raz pierwszy poczuł się poetą...

Był w tym smak ajwy — matka dała mu w dzieciństwie skosztować jej, ze swojej reki. (Macocha była niedobra; biedna matka — widywała się ze synem tylko ukradkiem). Cemu nagle ukazała mu się jasno twarz matki?... To małe szczęście przypadkowego spotkania z jedynym rodzonym i bliskim człowiekiem na świecie — czemu nagle przypomniało się ono starcowi i czemu poczuł on na wargach smak ajwy?... Być może drzewo, na którym rosło szczęście jego dzieciństwa, korzeniami piło sok z tego właśnie ruczaju?... Ruczaj był mały. Ruczaj toczył drobniutki, samotne szczęście z głębin przeszłości i wpadał do szerokiego bezdenne morza dnia dzisiejszego...

Sad rósł na zboczu góry. Starzec stał, patrząc na ruczaj i gryząc wargi, by powstrzymać łzy.

Wiele, wiele przypomniał sobie wówczas starzec. Szczęśliwiał lat żył już na świecie. Całe jego życie zawiązało się przed nim i każdy rok z sześćdziesięciu dawał to, co było w nim najlepszego dla pieśni o Leninie, o Stalinie. Były tam pola, napełniające od kłosów, i rozlewy rzeczne, i wysokie góry; były czyny przyjaciół i marzenia ludu — i wszystko, wszystko, czego starzec doświadczył, co widział i słyszał w ciągu sześćdziesięciu lat, wszystko, co godne było pieśni. Starzec błędził po ogrodzie...

Przypatrzył się przeszłości, tak, jak bada się wzrokiem na jesieni ziarna, trzymając je na dłoni i gładząc kciukiem. Starzec siedział nad ruczajem wdychając wonie wiosny i czuł, jak razem z pieśnią odmładza się jego krew...

Tak było do wieczora... Tak stał się on poeta.

Witaj góro, ośniona zachodem i saklo pod górą!

Witajcie, złote, bręczące pszczoły mego traju!

Witaj słońce!

Odzyskałem was i nikomu was odtąd nie oddam po wieki wieków!

Jestem z wami.

Jesteście ze mną.

W okresie międzywojennym występują na wsi dwa wyraźne kierunki ideologiczne. Większość chłopów skłania się ku polityce ludowej rozumiejąc, że na tej drodze leży obrona ich interesów. Z drugiej strony tradycyjne związanie z plebanią poprzez obrzędy i zwyczaje religijne daje możliwość agitacji księdza, który szczególnie silne wpływy miał u kobiet mniej oświeconych, a zasiadających przy rodzinnych kominkach. Kobiety nie brały nigdy dotąd udziału w zebraniach gminnych i gromadzkich, mniej ruszały się z miejsca w podróże do większych miast. Jedyne pozarodzinne okazje do przeżyć społecznych były dla nich nabożeństwa i odpusty. Kobiety były silniej związane z tradycyjnym układem parafialnym. Plebania i kościół były dla nich ostoją duchową, kierownikiem wychowawczym, najwyższym autorytetem moralnym. Żyły one na poziomie magicznego systemu wartościowania.

Mężczyźni natomiast mieli więcej okazji do porównywania i zestawiania zjawisk życia społecznego. Czy to służba wojskowa, czy funkcja samorządowa, czy podróże handlowe do Łodzi, a wreszcie liczniejszy i nie raz wyłączny udział w ruchu oświatowym, który ich zawiódł do P.O.W. i do partii politycznych — oto warunki, które doprowadziły wielu chłopów do postępowego światopoglądu. Obok tradycyjnej społeczności parafialnej widoczne już były dla nich szersze horyzonty. Często stawali się oni członkami o wiele szerszych grup społecznych, wnosząc do układu tradycyjnego ferment i rozbieżność.

Na tym gruncie zrodził się ruch ludowy, który oczywiście pozostawał pod wpływem oddziaływania świadomego celów kierownictwa centralnego w postaci klubu posłów, redakcji pism, czy wreszcie kierownictwa partii.

Proces kształtowania się społecznego oblicza wsi, jak każdy proces społeczny, był oczywiście skomplikowany i peryferie ruchu były mocno zamazane ideologicznie. Wyraźnymi pojęciami początkowo byli tylko przywódcy, którzy organizowali i użytkowali nastroje. W następnym etapie wykrystalizowała się więź ideowo-organizacyjna, szczególnie wśród młodzieży, podczas gdy szeregi partyjne były do ostatnich lat płynne.

Charakterystyczną cechą ruchów społecznych na terenie gminy Łaznów, o której będę pisał, było organiczność, niechęć do przewrotów, skłonność do przebudowywania, ugodowości. Powiat brzeziński specjalnie wyróżniał się pod tym względem od innych powiatów woj. łódzkiego, w których nasilenie rewolucyjne było dosyć znaczne, jakkolwiek dalekie od tego, jakie obserwowaliśmy w kieleckim, czy lubelskim. Ta łagodność procesów społecznych w powiecie wynikała ze stosunkowo małego zróżnicowania gospodarczego wsi oraz z niewielkiej roli dworów w powiecie, a specjalnie w gminie Łaznów. Na terenie tej gminy istniał majoracki majątek w Łaznowie, który został rozparcelowany w pierwszych latach niepodległości, oraz mały folwark w Popielawach (200 morg.), który był wzorowo prowadzony przez właściciela. Trzecią przyczyną, osłabiającą dynamikę społeczną gminy, była bliskość rynku łódzkiego, który podnosił rentowność gospodarstw. Ta sama Łódź dawała możliwość, raz większą — raz mniejszą, odpływu zbędnej ludności ze wsi. Kryzys i bezrobocie w przemyśle łódzkim, jakie wstrząsały w drugim dziesięcioleciu niepodległości wyraźnie odbiły się na postawie społecznej łaznowiaków, którzy już wzięli udział w bojkocie wyborów, w zatargach z policją itd. Tendencje do bardziej zdecydowanej walki były jednak hamowane przez przywódców gospodarzy. Najwybitniejszy człowiek na terenie powiatu mieszkający w sąsiedniej gm. Będków, Błażej Stolarski, Zaraniarz i Wyzwoleniec stanął do wyborów w 1935 r. i został wicemarszałkiem senatu w tym przeświadczeniu, że jako pozytywista potrafi dla chłopów zrobić więcej, aniżeli w bezpłodnej walce opozycyjnej.

Najdziwniejszym zdawałoby się zjawiskiem był brak kontaktów politycznych działaczy chłopskich z gminą tak blisko leżącą od Łodzi z działaczami i z ruchem robotniczym. Wiemy, że szkoła przedwojenna izolowała kompletnie dzieci chłopskie od środowiska przemysłowego. Izolację taką stosowała również polityka plebańska. Jedno i drugie jest zrozumiałe, ale dlaczego ruch chłopski nie miał styczności z ruchem robotniczym? Będę się starał w dalszych uwagach rzecz tę wyjaśnić.

Rok 1918 jest datą zwrotną, epokową w rozwoju społecznym chłopów, jako warstwy społecznej. Lata 1916 — 17 były ważne w dojrzeniu społeczno-narodowym wsi. Ale procesy, które zachodziły w tych latach, miały charakter ewolucji. Kształtował się wtedy aktyw chłopski. Masa nie podlegała większym wstrząsom. W Popielawach, jednej ze wsi gminy Łaznów, gdzie żyło blisko 1000 ludzi, w P.O.W. znalazło się zaledwie 20 członków. Reszta pozostała



Fragment pochodu w Nowosielcach

Stefan Ignar

POLITYKA W GMINIE

(Łaznów pod Łodzią)

bierna. Rzecz jasna, że ta zorganizowana dwudziestka oddziaływała na całą wieś, jak to wyraźnie widać ze wspomnień pastuszków. Nie było to jednak oddziaływanie zbyt silne. Sukcesy peowiaków w czasie rozbrajania Niemców dopiero uczyniły tę akcję popularną. Dużą także rolę odegrała ówczesna oświata, zwłaszcza kursy wieczorowe dla młodzieży dorastającej. Nie mniej jednak stara wieś żyła nadal życiem tradycyjno-parafialnym w systemie wartości wytworzonych w okresie izolacji od szerszych grup społecznych. System ten charakteryzował się nieufnością do wszystkiego, co dalekie. Ludzie, nie czytający gazet i książek, nie podróżujący — szukali aprobaty swych czynów w środowisku miejscowym, u autorytetów parafialnych i gromadzkich. Znajomość czytania była jeszcze słaba, a ci, co czytać już jako tako umieli, zagłębiali się w lekturę kabalistyczną, magiczną. Żywoty świętych i powieści moralno-religijne, niezwiązane z bieżącym życiem i ustrojem nie stanowiły ognia łączności z szerszymi kręgami społecznymi.

Rok 1918 wraz z „wybuchem Polski“ stanowią przewrót w dziejach warstwy chłopskiej. Cała powszechność wiejska została wezwana do wypowiedzenia się w dwóch sprawach: sprawie narodowej i społeczno-ustrojowej. Każda najbardziej zasiedziała przy kominku i kądzieli babka miała teraz decydować o losach Polski. O przychylności tej babki zaczęli się ubiegać wszyscy aktywiści społeczni. Do walki o duszę chłopstwa stanęły nowe czynniki społeczne ze starymi autorytetami. Z jednej strony przedstawiciele radykalnego ruchu inteligentno-chłopskiego — „Wyzwolenicy“, sprzymierzeni z P. P. S., z drugiej strony księża, jako wykładnicy interesów obszarników i szlacheckiej inteligencji.

Obszarnicy rzadko angażowali się do walki politycznej bezpośrednio. Działali oni poprzez organizację oświatowo-rolniczą C. T. R., a później C. Z. K. R. Natomiast księża stanęli do walki otwarcie, używając do tego ambony, jako wygodnej trybuny politycznej, wspartej mistyczno-religijnymi sankcjami. Politycy chłopscy „Wyzwolenicy“, musieli także korzystać z tradycyjnych instytucji, gromadzących systematycznie okoliczną ludność, jak nabożeństwa, odpusty, jarmarki itd. Wojna polsko-bolszewicka zadecydowała o zwycięstwie prawicy, ponieważ rozbroiła lewicowych działaczy i zmusiła ich do ugody z narodowcami. Dowodem wysokiego napięcia radykalnych prądów w tym czasie jest mowa Witosa w sejmie ustawodawczym wygłoszona w 1919 r. w dyskusji nad reformą rolną. Po roku 1920 Witos zwinął chorągiewkę paracelacyjną i poszedł na ugodę z obszarnikami.

W gminie Łaznów w pierwszych latach niepodległości, tak jak w całym kraju, lewicowy kierunek chłopski miał zdecydowaną przewagę. Piszę o tym jedna ze starszych gospodyń w życiorysie, który jest w moim posiadaniu:

„Na następny wieczór zebranie, a trzeba iść. Tam się chłopci nasłuchali, żeby tworzyć Polskę Ludową. Tak dwa razy w tygodniu po każdym zebraniu ci twórcy Polski Ludowej zbierali składki.

Raz pytam męża, na co te składki? Kupimy w Warszawie dom. Jak delegacja pojedzie, to tam będzie miała gospodę. Do-

brze, trzeba dawać składki, bo teraz w Polsce to i kobiety będą miały głos, też mogą być na zebraniu, zabierać głos, doradzać, protestować, bo jest wolność słowa i przekonania. Raz powiada mi mąż, że dziś na zebraniu mówiono, żeby się chłopci trzymali z robotnikami, broń Boże z obszarnikami i księdzem, bo to wielkie wrogi...

Coś mi tam trzeba było ze sklepu, idę akurat trafiam na zebranie. Stałam w ganku, para bucha jak z pieca, a tam jakiś kaznodzieja tak prawi: że szlachta to tacy sami jak Niemcy, lotry, bandyty, co to mordowali chłopów, siekli batami, kopali nogami, a księża im pomagali. I dziś też ksiądz będzie nam prawił, że taką mową wywracamy krzyżce, ale im chodzi o własny ich krzyż, żeby ich nie bolał od pracy, bo się boją, bo nas chłopów jest siła. W szkołach religijnych nie potrzeba, nasze matki same naszą młodzież nauczają religii...

Nowe państwo, nastało nowe życie. Wszędzie polskie orły, napisy po polsku. Teraz wybiorą sejm. Do głosowania będą i kobiety dopuszczone. Namawiamy na każdym zebraniu, żeby kobiety szły do głosowania. A poco my? od tego są chłopci, oni tam mają na to głowy. Pytają się sąsiadki: czy Wy pójdziecie głosować? A jakże, pójdę i głosować powinny wszystkie kobiety, bo nas jest większość, to możemy urządzić Polskę, jaka nam się podoba. O, to by było niezłe, odezwiała się jedna. Najpierw to byśmy wyrzuciły wódkę. Głosowałam, jak mi moje sumienie dyktowało, jednak na zebraniu, jakie na terenie wsi czy gminy się odbywały, często chodziłam...

Kobiety odegrały i w gminie Łaznów i całej Polsce decydującą rolę w głosowaniu. Wprawdzie nie udało się im wyrzucić wódki, ale za to sparaliżowały akcję „Wyzwolenia“ i innych postępowych ugrupowań. Podległe autorytetowi plebanii rzuciły swe bierne głosy na listy wstecznych ugrupowań i w ten sposób nieświadomie przyczyniły się do „urządzenia Polski“ tak, że później dla nich i dla ich dzieci zamknęły się wrota do poprawy gospodarczej, do urzędów kulturalnych na wsi i do oświaty. Bywało, że mąż pokrywając przed własną żoną głosował na listę „Wyzwolenia“, zobowiązany już nowymi niemi ideowo-społecznymi z partią poprzez przodowników społeczno-politycznych takich jak Błażej Stolarski, Jan Pakuła i inni w pow. brzezińskim. Agitatorzy „Wyzwolenia“ nie posiadali jeszcze przepracowanych metod oddziaływania, często zrażali sobie ludność zbyt drażliwymi chwytami, a przeciwko sobie mieli wytrawnych, wyszkolonych przeciwników w postaci proboszczów.

Mówiąc o roli kobiet w kształtowaniu oblicza społecznego nowopowstałego Państwa Polskiego, jasne jest, że trzeba tu rozumieć socjologiczne rozróżnienie płci. Podział pracy w naturalnej gospodarce chłopskiej dokonywał się według kryteriów płci. Mężczyzna nie dlatego nie przadł kądzieli, żeby był niezdolny do tego, ale dlatego, że mu nie wypadało tego robić. Miał on prawo całonocnie spędzać na polu, a wieczór ściąć machorkę, patrzeć bezczynnie godzinami w płonące drzazgi na kominię, podczas gdy kobieta produkcyjnie pracowała. Wszystkie roboty dzieliły się na „chłopskie i babskie“. Mężczyzna przędący stałby się posmiwiskiem całej wsi. Do niego należały roboty podwórzowe i polne, zwłaszcza związane z użyciem konia. Jego

także obowiązkiem była reprezentacja gospodarstwa rodzinnego na zewnątrz, w gminie, w gromadzie, w parafii. Do tej reprezentacji potrzebna mu była umiejętność czytania i pisania — to też w dawnych szkołach elementarnych uczyli się przeważnie chłopcy.

A Przywara wspomina, że z Rokiccin chodziło do szkoły w Łaznowie tylko 3-ch chłopców razem z nim, a dziewczyna żadna. Młodzież męska miała prawo uczęszczać na zabawy w okolicznych wsiach. Dziewczęta mogły się zabawiać tylko we własnej wsi i to za każdorazowym zezwoleniem rodziców. Na furmanki i na podwozy jeździli oczywiście tylko mężczyźni.

Nie dziwnego, że przy takim podziale pracy, obowiązków i przywilejów, kobiety wiejskie odznaczały się większym konserwatyzmem i poparły tych, którzy byli dla nich autorytetami w grupie parafialnej. Głosowanie na listę krytykowaną przez księdza groziło sankcjami religijnymi, można było za to nie dostać rozgrzeszenia, a nawet znaleźć się po prostu w piekle. Biedota komornicza co prawda przebąkiwała zuchwale o porównaniu biednych z bogatymi, ale to porównanie pojmowali oni w skali parafialnej, gdzie gospodarz 15-morgowy prezentował się w ich oczach w roli bogacza. Jeśli zaś zamożniejszy gospodarz był przywódcą z „Wyzwolenia“, to oczywiście zwolennicy „porównania“, przeciwstawiając się zamożnym „wyzwoleńcom“, głosowali na listy zalecone przez księdza z przekonaniem, że przeciwstawiają się bogaczom. Przy powszechnym wtedy analfabetyzmie, zwłaszcza wśród biedoty i przy braku dostatecznej propagandy przy pomocy centralnej prasy i wydawnictw, było to zupełnie naturalne.

Ideologie szerzyły się przeważnie starym sposobem ustnego przekazywania ich treści i związane były z osobami miejscowych przywódców. Osobiste zalety i wady przodowników, ich stan majątkowy i stosunki rodzinne odgrywały dużą rolę w szerzeniu się idei społecznych. Personifikacja idei, tak jeszcze dziś aktualna nawet w społeczeństwach stojących na wysokim poziomie kulturalnym, odgrywała na wsi w pierwszych latach niepodległości rolę bardzo dużą. Przytem bardzo często sąsiedzi, nie chcący ustępować przodownikom społecznym pierwszeństwa, które nie przysługiwało im w układzie gromadzkim i parafialnym, prawem kontrastu popierali ideologię przeciwną, żeby wykazać, że nie mają zamiaru podporządkować się nielegalnym z punktu widzenia układu gromadzkiego autorytetom. Bogatsi gospodarze, szczególnie w kościelnej gminie wsi Łaznów zgodnie z zasadą dysocjacji na gruncie oświaty rolniczej i mechanizacji pracy, uważali się już za wyższą sferę, zwłaszcza gdy mieli do czynienia z jakimiś funkcjami w kościele, w kółku rolniczym, w kasie oszczędności, gdzie zasiadali razem z księdzem.

W oczach tych ludzi bogatszy gospodarz, który prowadził agitację za „Wyzwoleniem“, to pewnego rodzaju odstępa, człowiek pomylony, albo ubiegający się o osobiste korzyści, o mandat poselski. Nazywano go najczęściej żydowskim wrzkiem, który frymarczy dobrym imieniem Polaka-katolika i sieje zgorznienie publiczne.

Trzeba przyznać, że zarzut interesowności materialnej często był słuszny w odniesieniu do przywódców chłopskich. Diety poselskie były dla właściciela ubożego w gotówkę gospodarstwa chłopskiego nadzwyczajną okazją do tzw. „odkucia się“ a nawet do kupna ziemi. Zostać posłem w pogięciu chłopów, to nie mniej, jak wygrać wysoki los na loterii. Kariera posła, to droga nowego wysokiego awansu społecznego dla chłopów. Możliwości takiego awansu, niezwiązane ściśle z kwalifikacjami szkolnymi, oddziaływały wybitnie na ambitniejszych i ruchliwszych przodowników. Wytworzyły one dość liczny typ działaczy, których można nazwać kandydatami na posłów. Jeszcze w powojennych wyborach do sejmiku ustawodawczego w 1947 r. cechy „kandydatów na posłów“ wystąpiły z wielką siłą tak w SL-u, jak tym bardziej w PSL-u, gdzie nawet spór o mandaty spowodował liczne odstępowstwa partyjne. Dla niektórych przedwojennych polityków chłopskich była to ostatnia szansa awansu społecznego w stylu szczęśliwego losu.

Te uwagi o awansie poselskim działaczy chłopskich mają na celu wyswietlenie psychicznego nastawienia agitatorów i związanej z tym łatwości krytyki ze strony przeciwników politycznych. Nie mniej jednak radykalny ruch chłopski wywarł głęboki wpływ na całą warstwę chłopską. Najważniejsze — to wniesienie fermentu do starego, parafialnego układu społecznego, wyciągnięcie masy chłopskiej na wiecie, na zebrania, do głosowania, do rozprawiania o sprawach państwowych i klasowych — przełamanie tradycyjnych opiótków izolowanej grupy parafialnej.

Władysław Błachut

POSŁOWIE CHŁOPSCY PRZED STU LATY

PRZEBIEG ruchów wolnościowych w okresie „Wiosny Ludów” na ziemiach b. zaboru austriackiego był na ogół spokojny. Jeszcze nie przebrzmiały tam echa tragicznej rewolucji i rabacji z 1846 r., jeszcze straszły wszystkich widmo szubienic, na których powieszono we Lwowie przywódców powstania z 1846 r. Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego, jeszcze więzienia austriackie pełne były patriotów polskich, a maszy chłopów poddane czulej opiece żandarmerii austriackiej.

Niemniej echa rozgrywających się w Paryżu, Berlinie i Wiedniu wydarzeń dotarły do miast i wsi galicyjskich.

We Lwowie powstała Rada Narodowa (później Gwardia Ludowa) i szybko opracowała długi rejestr żądań i petycji natury politycznej i gospodarczej do Tronu. Wśród nich na czołowym miejscu znajdowało się żądanie zniesienia służebności pańszczyźnianych i nadanie chłopom gruntów bez odszkodowania.

PROBLEMY POPAŃSZCZYŹNIANE

Żądanie jednak delegacji zniesienia pańszczyźnianych bez odszkodowania było raczej demonstracją polityczną kilkunastu krajowych liberałów, na którą z konieczności godziło się kilkudziesięciu zadłużonych do ostatnich granic, a więc nie mających nic do stracenia szlacheńców.

W każdym razie Rada Narodowa, nie ogłaszając wcześniej swych projektów co do zniesienia pańszczyźnianych bez odszkodowania, popełniła grubą błąd taktyczny i dała się w tym względzie uprzedzić zaborem (Patent cesarski z 17 kwietnia 1848 r.).

Miało to ogromne znaczenie psychologiczne dla kształtowania się stosunków między wsią a dworem w pierwszym okresie popańszczyźnianym.

Trzeba bowiem odrazu stwierdzić, że uwłaszczenie chłopów i zniesienie pańszczyźnianych w 1848 r. (z odszkodowaniem), jakkolwiek stanowiło epokowy przełom w życiu wsi, to jednak palącą sprawą chłopów nie rozwiązało w zupełności.

W szczególności patenty cesarskie z 1848 r. nie uregulowały sprawy służebności leśnych i pastwiskowych, a nawet zniosły chłopom prawo pasania i wyrębu w dobrach dominialnych. W ten sposób, uwolniony formalnie od pańszczyźnianych i obdarzony ziemią chłop galicyjski, został pozbawiony podstawowych możliwości gospodarczych (opał, chów bydła) a w niektórych okolicach znalazł się w gorszym niż przedtem położeniu.

Nie dysponując własnym pastwiskiem musiał ograniczyć do minimum hodowlę bydła, a w związku z tym pozbawiał swoje pola nawozu i pozostawiał je ugorom. To znowu stawało się przyczyną nieurodzaju i zmniejszającej się wydajności gospodarstw chłopskich. Coraz częściej i coraz powszechniej pod kurą strzechy galicyjskiego chłopca zaglądał głód, a wśród ślaniających się z wycieńczenia ludzi śmierć zbierała bogate żniwo. W niejednym piecu nie było czym zapalić, a życiodajnego ciepła używała domownikom wprowadzana na zimę do izby krowa.

Jak żywotną była sprawa uregulowania stosunków gruntowych między dworem a wsią niech świadczy artykuł, jaki w dniu 6 października 1848 r. ukazał się w nrze 28 lwowskiej „Gazety Powszechnej”: „Jeżeli uregulowanie gruntów... właścicielom gruntów dotąd dominikalnych tylko ręce gosp. rozwiąże, to co się tyczy właścicieli gruntów rustykalnych... po najsumienniejszym obrachunku pokaże się, że tyle tylko istotnie uprawia, a więc używa, ile ma koło domu i zagrody swej, tak zwane zagumienki. Śmiało rzec można, iż jeżeli nie połowa, pewnie trzecia część opłacalnej przestrzeni w Galicji leży odłogiem żadnego użytku nie przynoszącą użytku. Ze przy takim gospodarstwie właścicieli takiego stanu o zaprowadzeniu lepszego, np. płodozmiannego trybu gospodarowania nawet pomyśleć nie można, rozumie się, a jaka szkoda stąd wynika dla samego właściciela najpierw, a potem dla ogólnej produkcji krajowej, nie potrzebujemy wspominać...”

Dlatego też sprawa uregulowania serwitutów gruntowych stała się zagadnieniem pasjonującym w najwyższym stopniu i na całe lata serca i umysły chłopów galicyjskich. Nie przesłoniło jej nawet doniosłe wydarzenia natury politycznej, a mianowicie rozpisanie w Galicji wyborów do wiedeńskiej Konstytucji.

CHŁOPI GALICYJSKY W KONSTYTUCYJNEJ AUSTRIACKIEJ

„Wiosna ludów” przyniosła chłopu galicyjskiemu nie tylko wyzwolenie z niewoli pańszczyźnianej, ale równocześnie obdarzyła go pierwszymi przywilejami natury politycznej. I tak w czerwcu 1848 r. na terenie Galicji przeprowadzone zostały wybory do sejmiku wiedeńskiego (austriackiej Konstytucji). Dopiero co rozkuł z pięć niewolników pańszczyźnianych, chłop galicyjski uzyskał na gale czynne i bierne prawo wyborcze. Pozbawieni wszelkiej orientacji politycznej i kier-

wnictwa demokratycznego, stali się niestety wdzięcznym obiektem zabiegów i kombinacji biurokracji austriackiej. Biurokracja też przy pomocy odpowiednio instruowanych żandarmerii austriackich kierowała tymi pierwszymi na ziemiach polskich wyborami reprezentacji narodowej, a wybrani głosami Rusinów (Ukraińców) gubernator Galicji hr. Stadion otrzymał zlecenie „opiekowania” się posłami chłopskimi na sejmie wiedeńskim.

Na 100 przyznaczonych Galicji posłów spodało się biurokracji austriackiej wprowadzić do sejmiku 32 (b. wysoki w tym czasie procent) delegatów (posłów) chłopskich. Było wśród nich 14 Rusinów i 13 Polaków.

Cała reprezentacja galicyjska podzieliła się w sejmie konstytucyjnym na dwie niejednolite zresztą grupy. I tak posłowie ze sfery inteligentkiej i ziemiańskiej zajęli miejsca na lewicy, zaś posłowie chłopscy i księża usadowili się w centrum, obok reakcyjnej szlachty austriackiej i biurokratów („szwarcelberów”). Tam też zajęła swe miejsca wybrana na posłów grupka arystokratów galicyjskich. Gubernator Galicji hr. Stadion podzielił ławy delegatów chłopskich, aby stale mieć ich na oku i w zależności od potrzeby kierować ich głosowaniem.

W ogóle sytuacja naszych pierwszych delegatów polskich w różnorodnym sejmie wiedeńskim była co najmniej dziwna.

Zaledwie kilku z nich, a to deputowany ruski ze Solotwiny Iwan Kapuszcak*, Józef Sawka z okręgu gródeckiego i Mikołaj Gabryś z nowosądeckiego, umiało po niemiecku. Chłopski poseł Gabryś wszedł nawet w skład ogólnej komisji konstytucyjnej. Pozostali, nie umiejąc mówić i nie rozumiejąc po niemiecku, nie orientowali się dostatecznie w problemach i w toku obrad z tego powodu niejednokrotnie nawet między sobą nie umieli zachować wskazanej gospodarczo czy politycznej jednności.

Między innymi, 12 posłów chłopskich głosowało wraz z arystokratami przeciwko przyjęciu przez sejm konstytucyjny delegacji walczącego o wolność narodu węgierskiego (powstanie Kossutha). Wywołało to zrozumiałe oburzenie wśród sprzyjającego rewolucji węgierskiej ludu wiedeńskiego. Chłopscy, ciemni posłowie z Galicji stali się przedmiotem drwin i satyry na łamach wiedeńskiego pisma humorystycznego „Katzenuusik”. Posłów ruskich nazywano po prostu „stimmen des Vieh” — głoszące bydło. Doszło nawet do tego, że gdy w październiku 1848 r. przeszła przez Wiedeń druga fala rewolucji, niepopularni galicyjscy posłowie chłopscy ze strachu przed wiedeńczykami musieli szukać schronienia w pokojach przydziałnych sejmiku, gdzie udzielili im gościnny polski prezydent sejmiku Fr. Smolka.

Mimo to niedługo temu samemu Smolce, którego zresztą na ogół darzyli sympatią, nieświadomie wyrzucił dużą przykrość. Miało to miejsce dnia 20 grudnia 1848 r. przy wyborze prezydenta sejmiku (wybierano go co cztery tygodnie). Do ponownego wyboru na Prezydenta zabrakło wówczas Smolce 9 głosów. Jak się okazało większość chłopów, a w tym wszyscy Rusini, nastraszona rozpędzeniem sejmiku (a diety posła wynosiły 200 reńskich miesięcznie) głosowała przeciwko Smolce.

Nie pogniwał się jednak o to na nich mądry Smolka, a nawet po kilku dniach zaprosił ich do siebie na wigilię. Pisał o tym w liście do żony co następuje: „Sprawiliśmy wczoraj sutą wile, do której czternastu naszych chłopów zaprosiliśmy, było ze 40 osób. Chłopi chętnie przyszli, a nawet bardzo się tem szczeni, bo mnie lubią, pomimo wszelkich intryg z niejednej strony. Miałem do chłopów stosowną przemowę... bawiliśmy się bardzo dobrze, a nawet serdecznie. Chłopi byli tak rozczuleni, że nie wiedzieli, co ze mną mają począć. Zapłacim im grubo, bo chłopom strasznie wiele wina, a to dobrego, wypili” (Putek, „Pierwsze występy włościanstwa pol.” str. 17).

W innym liście:

„Dziś rano przyszli nasi chłopci do mnie winażować Nowego Roku i przynieśli ze sobą ogromną butlę straszego Darmreissera. Musiałem wypić niepospolitą szklanicę, — aż mi dotychczas kwaśno w żołądku; cieszy mnie jednak to zaufanie, jakie do mnie mają...”

LISTY POSŁÓW CHŁOPSKICH Z WIEDNIA I O WIEDNIU

O poziomie inteligencji i sposobie myślenia posłów chłopskich na sejm wiedeński świadczy najlepiej nieliczne z zachowanych listów, jakie z Wiednia pisali (a raczej ktoś im pisał) w swoje strony rodzinne. W tym miejscu przytoczę b. charakterystyczny list posła sejmowego Wojciecha Wójtowicza z Delastowic (pow. Dąbrowa) do księdza proboszcza Tabaczynskiego („Gazeta Powszechna” nr 7 z 9 września 1848 r.): „Wiedeń 25 sierpnia 1848 r. Szanowny księże proboszczu dobrodzieju. Chociaż nie umiem pisać, to przecież chciałbym księdzu proboszczowi co donieść, jak to

* Zobacz „Z dokumentów postępowej myśli chłopskiej”, „Wies” Nr 49—50 art. Wł. Błachuta.



„Wsi spokojna, wsi wesola...” Tak wi dziano wieś z okien pałacu i domu mieszczańskiego przed stu laty

z „kramu malownicze” J. Piwarskiego

tu idzie na tym miłym sejmie — długo my to już tu siedzimy, długo to prawda, a jeszcze niewieleśmy zrobili; ale coż zrobić, kiedy to tu różnie i w tę i w ową stronę tyle się nagadają, że aż uszy bolą słuchać. Choć ja nie umiem niemieckiego, ale ci co umieją to nam tu powiedzą jak na przykład Bogdaś z Tarnowa, a ten umie po niemiecku to nam też i powie. Otóż teraz rozprawiają na sejmie o tym czy pańskie i poddaństwo znieść — na co się pono wszystkie zgodzą, ale tu tylko sek, bo są niektórzy, aby za pańskie pieniądze płacić, ale my chłopcy na to nie przystajemy i nie przystaniemy, choćby niewiedzieć co, — i niektórzy z panów i adwokatów i księży pokazują, że na to nie przystają, a pono i nie przystaną, a niektórzy są co za tym ciągną — inni są i ujadają się dobrze o to, żeby niejaki nagrody nie było, — jak wypadnie, to napiszę jegomości. 21 tego miesiąca uchwalił sejm pożyczkę na 20 milionów, bo minister powiedział, że jak do końca t. m. nie będzie pieniędzy, to ani wojska ani urzędników nie będzie czym wypłacić, a coż było radzić, kiedy trza to trza.

Robotnicy się burzą. Chodzi im o to, że minister robót (niektórym babom co więcej próżnowały jak roboty) odcignął po 5 kr. m.k., ale ich uspokoił w poniedziałek, a złapali dwóch co podburzali robotników — jednego w studenckim stroju, co nie był studentem, tylko tam jakimś małym urzędnikiem, a drugiego po gwardyacku przebranego, co nie był nim, dlatego tak się przebrali, aby na studentów gadali, że studenci podburzali robotników, aby ich rozwiązać to jest rozbroić, a potem, że gwardya podburza robotników, aby i gwardya rozwiązać, a na swoim postawić; ale im się nie udało. We wtorek znowu robotnicy wypchali sobie frak i portki słomą i nazwali to ministrem robót i pogrzbili temu robili, na hańbę żywemu ministrowi, policyanie pono ich bili, i tak przyszło do rozlewu krwi, bo ich podobno zgineło robotników 6 zaraz, a bardzo pokaleczonych było dużo, z których wkrótce ze 14 umarło, rannych jest przeszło 100. — Do więzienia dużo wtracili, nie wiedzieć co dalej będzie.

Tyle nowin, cesarz przyjechał prawie dwa tygodnie temu, przyjmowałimy go z wielką paradą; najprzód byliśmy wszyscy sejmowi w kościele, a on przyszedł do kościoła ze żoną to jest z cesarową a i z bratem i bratową. Cesarz mały, dosyć gruby a już i siwy. Potem pojechaliśmy wszyscy fiakrami do jego letniego pałacu w Szebrubrunie, i tamśmy go przyjmowali. Proszę też księdza proboszcza dobrodzieja niech tam o mojej rodzinie pamięta, gdyby jakiej dosady chciała. — Całuję rączki księdza proboszcza dobrodzieja i zostaje życzliwym Wojciech Wójtowicz”.

W kwestii pańszczyźnianej autor listu, poseł chłopski, zajmuje zdecydowane stanowisko („aby za pańskie pieniądze płacić, my chłopcy na to nie przystajemy i nie przystaniemy”). Również z ustępu o rewolucji wiedeńskiej można wnieść o wyraźnej życzliwości naszego posła dla rewolucjonistów. Zresztą stanowisko posłów chłopskich w sprawie odszkodowań za uwłaszczenie ilustruje dobrze głos z drugiego, szlacheckiego obozu, jaki pojawił się w nrze 9 z dnia 13 września 1848 r. tejże „Gazety Powszechnej”: „Wiedeń 3 września (z listu posła galicyjskiego). — Nasi bracia włościanie, zasiadający w izbie, jak byli na początku monarchii, cesarscy, reakcyjni i przy głosowaniu przez powstanie zawsze się na Stadion, Pillersdorfa i księży ruskich wstecz myślących zapatrywali, tak znowu teraz, kiedy się rzecz toczy o wynagrodzenie właścicieli za zniesione urbarialia, popadłszy w ręce radykałów niemieckich, stali się republikanami i wraz z nimi tworzą bardzo silną opozycję, gdy tymczasem my... co do tej kwestii z czarnożółtymi i rządem trzymamy... Chociaż wyrzeczona indemnizacja (większością 30 głosów, przyp. mój) przy dzisiejszym zwłaszcza krytycznym stanie finansów może być tylko iluzją, skutki jednak tej uchwały nie mogą być jak tylko zbawienne, bo i zasada własności ocalona i kredyt krajowy wzmocony...”

Widzimy z tego, że choć sprawa chłopów była — wobec stanowiska rządu — z góry przegrana, to jednak posłowie chłopscy swoim zachowaniem się przy głosowaniu napsuli szlachcie wiele krwi.

Na zakończenie jeszcze jeden charakter-

ystyczny dokument. Jest to list jakiegoś demokratycznego korespondenta z nowosądeckiego do redaktora „Gazety Powszechnej”, zawierający niezwykle ciekawe szczegóły o zachowaniu się i wrażeniach ze stolicy posła chłopskiego, przybyłego z Wiednia za urlopem na galicyjską wieś... „Sadec, 12 października. (Tytuł: Deputowany wieśniak na urlopie): Przed kilku dniami przybył tu z Wiednia, za urlopem, deputowany na sejm wiedeński Scibała. Ciekawa to rzecz widzieć, jakie wrażenie na polskim wieśniaku zrobiły obrady sejmiku i pobyt w stolicy. Ciekawość tę podzielały wszystkie stany: gdzie tylko obroczył się nasz poseł, mnóstwo cisnęło się do niego w sukmanach, czamarach i gwardyjskich mundurach, ażeby słuchać jego opowiadań. On, dawniej tak nieśmiały, „dzisiaj nabrął śmiałości odpowiadającej swojemu wysokiemu stanowisku: nie skłonił się do kolan, jak dawniej, lecz rękę podaną uściśnie bez wahania — ani powie komu wielmożny panie, lecz obywatelu, jakby był członkiem demokratycznego Towarzystwa; rozprawia zaś o rzeczach najważniejszych, jakby o zasiewie oziminy. I przynajmniej trzeba bardzo rozsądnie rozprawać... Rozmowy naszego posła wiernie spisane, byłyby wielce ciekawe i nauczające. Na przedzie kilka publiczności udzielił szczegółów. Pewna dostojna osoba przestała dla naszego deputowanego być Bogiem na ziemi; widział ją na własne oczy i wydał o niej sąd wcale nie parlamentarskim wyrażeniem: To niedolega. X. Biskupowi Jachimowiczowi do stał się przydomek wcale niepoehleby, którego przyzwyczajenie powtórzyć nie pozwala; Stadionie mówi pan deputowany z prawdziwym oburzeniem: „ten oszust, dzięki Bogu, już nam oczu nie zamydli”. Zapytany jak mu się Wiedeń wydał, opowiadał o wielkich kamienicach, pałacach, kościołach przepysznych, o sklepach błyszczących drogimi towarami... lecz dodał: „bo też ze wszystkich krajów cesarskich i z naszego, pieniądze do Wiednia idą, i za to tam takie bogactwa niesłychane, a u nas bieda”. Lecz co najwięcej zastanawia nas godne, o projektach prawa rozbiieranych na sejmie, ma deputowany nasz wcale nieźle wyobrażenie. Snać oświeceni koledy zadal sobie nie mało pracy, — i nie napróżno. Ziarno bujne zeszło na nowienie. Z podejrzliwego, ciemnego niewolnika, stał się Scibała rozsądnym, wolnym obywatelem... Dobrze więc, że wieśniacy poszli na sejm do Wiednia. Biurokracja pochebiała sobie, iż z nich mieć będzie powolne narzędzia, maszyny do głosowania bezrozumne i posłuszne, ale Pan Bóg pomieszał złośliwych zamysły, zsyłając na niewolników Świętego Ducha wolności...”

Istotnie wielka szkoda, że ktoś nie spisał wiernie „ciekawych i pouczających” wynurzeń naszego delegata z Bobowej. Ale już z tego co relacjonuje nam współczesny jego wystąpieniom świadek, łatwo możemy zorientować się, do jakiego stopnia przetarły się horyzonty myślenia i odczuwania delegatów chłopskich z Galicji w krótkim okresie ich na sejm wiedeński posłowania.

Ten krótki przegląd wypowiedzi posłów chłopskich (i o posłach chłopskich) utwierdza nas w przekonaniu, że pierwsze występy polityczne włościanstwa polskiego nie wypadły najgorzej a przy uwzględnieniu stanu oświaty i kultury na ówczesnej wsi galicyjskiej, przynoszą im raczej chlubną świadectwo.

W świetle przewertowanych materiałów publicystycznych z tego okresu muszę przyznać rację J. Putkowi („Pierwsze występy” str. 69), że o początkach polityki chłopskiej „utrwały się w opinii publicznej takie zdania i sądy, jakie o niej urabiali nieprzypadnie do ludu usposobieni ziemianie... Do chłopów z tego okresu nie tylko uznania nie mieli, ale ich nawet usprawiedliwić nie chcieli. W chłopie widzieli tylko chłopca, członka stanu chłopskiego, nie chcieli widzieć i nie widzieli w nim członka społeczeństwa polskiego, choć chłop ten był i czuł się zwłaszcza wśród obcych Polakiem... Ziemianstwo, które tyle krzywd ludowi polskiemu wyrządziło, do ich łańcucha dodało nowe ogniwko: spotwarzało polskiego chłopca w obliczu historii bezpodstawnie, oraz obdzierało go ze części i praw obywatelskich, których mu nie dało...”

Maciej Czula

Podkrakowskie namówiny

OKAD w r. 1892 Polska Partia Socjalno-Demokratyczna zaczęła wydawać w Krakowie swój organ „Naprzód” stała się wyrazicielem dążeń nie tylko sfer robotniczych Krakowa, ale i uboższej ludności wsi. Odkąd zaś w r. 1893 objął redakcję „Naprzodu” słynny później trybun robotniczy i wódz polskiego socjalizmu — Ignacy Daszyński, potrafił on zjednywać do partii nie tylko mieszkańców Krakowa, ale także i okoliczne powiaty: krakowski, bielecki, chrzanowski, oświęcimski i tarnowski, które z początku częściowo, a niedługo potem prawie w całości głosowały przy wyborach na socjalistów.

Daszyński nie miał bynajmniej w początkach swojej działalności na gruncie Krakowa łatwej pracy. Kraków, miasto kościołów i ostoja krakowskiej klki stacjonarowskiej był do gruntu sklerikalizowany i — jeśli chodzi o nowe idee społeczne — bardzo zacofany. W pierwszych kilku miesiącach miał już Daszyński w Krakowie pięć procesów politycznych i karę policyjną, a „Naprzód” był raz za razem konfiskowany. „Musiałem — pisał Daszyński — walczyć zjadale, żeby zrobić jakiś krok naprzód. To też słowa moje na zgromadzeniach, w sali sądowej i w „Naprzodzie” stały się biczami, którymi siekłem gwardię policyjną bez litości. „Naprzód” konfiskowano z dziką furją. Rady sądowi schodzili się po biurach i każdy z nich się chwalił, że mi łeb ukreśli. Aresztowano towarzyszy za co bądź, a wojsko było zawsze pod ręką. Ale robotnicy nie dali się niczym odstraszyć. Ośiem numerów „Naprzodu” skonfiskowała mi z rządu prokuratura, a w końcu wpadła na dziki pomysł opieczętowania całego układu zecerskiego pisma.

Zacząłem drukować „Kto się w opiekę podda Panu swemu”, a w drugim numerze konstytucję austriacką — i czekałem czy mi i to skonfiskują. Każdy skonfiskowany numer był sprzedawany po potrójnej cenie. Towarzysze tak się rozwydrzyli że gdy czasem nie było konfiskaty, szemrali, że widać „Naprzód” jest już blade redagowany.”

Taką to trudną drogę przechodził pierwszy ruch robotniczy i jego wódz Daszyński. Zarządzeniem władz wtórowało mieszczaństwo tepe i nieusłowności. W restauracji odsuwano się od Daszyńskiego, żaden ksiądz nie ochrzcił dziecka, gdy jego zaproszono na ojca chrzestnego, a dzieci przedrzeźniały go na ulicy, że „kolor jego jest czerwony”. Dla skompromitowania go puszczono o nim bajkę, że jada gruszki po 10 koron, a dewotki nauczały, że jest wrogiem religii.

W r. 1897 zostaje Daszyński wybrany pierwszym raz posłem z Krakowa i powiatów: krakowskiego i podgórskiego. Urządza dziesiątki wieców w Krakowie i powiecie i lody zostają niedługo przełamane. Na jego bowiem zgromadzenia urządzane w tzw. „Ujeżdżalni” w sali Teatru Ludowego, lub później i w budzie cyrkowej koło Parku Krakowskiego szedł cały Kraków, przyjaciele i wrogowie, gdyż można się było z nim nie zgadzać, ale słuchało się go z przyjemnością. Przychodził na te zebrania także i okoliczni chłopcy, szczególnie biedota wiejska, która widziała zawsze w Daszyńskim swego opiekuna i uważała go za bicz Boży na wszystkich swoich wrogów.

W szybkim rozwoju stronnictwa socjalno-demokratycznego w Galicji pomagała potężna wymowa Daszyńskiego i niesłychanie zapobiegliwa mrówcza praca oddanych mu in-

teligentów i światlejszych robotników. Niedługo zastąpili obok Daszyńskiego postowie Hudec, Dłamand, Dr. Marek, Dr. Bobrowski, Reger (na Śląsku) Zygmunt Klemensiewicz i inni.

Odkąd (od r. 1891) zaczęto urządzać święto robotnicze 1 Maja, stało się ono potężną manifestacją ludu roboczego i solidarności robotniczo — chłopskiej, ponieważ nie tylko do Krakowa płynęły fale ludu na ten dzień, ale i również do innych miast, gdzie na zaimprovizowanych trybunach pod gołym niebem przemawiali delegowani mówcy socjalistyczni.

Było to duża a niemila niespodzianka dla ludowców, że socjaliści nie poprzestają na swojej pracy w miastach, ale idą także na wieś i stąd wypływał stały antagonizm między socjalistami a ludowcami na terenie Galicji. A gdy niedługo socjaliści zdobyli w niektórych powiatach mandaty (w krakowskim Daszyński, w wielickim Klemensiewicz) naprężenie doszło do zenitu, ponieważ ludowcy uważali wieś za swoją domenę.

Mimo to walka ludowców z socjalistami nie była nigdy tak rozpalona do białości, jak np. ks. Stojałowski ze Stapińskim — lub Stapińskiego z Witosem.

Ciekawie opisuje Daszyński pierwsze swoje występy na wsi podkrakowskiej:

„Trudno mi było znaleźć drogę do duszy chłopskiej. Znałem teoretycznie dolę chłopca, ale nie znałem miejscowych spraw różnych gmin, a to wzbudzało zawsze największe zainteresowanie... Chłopskie zgromadzenia miały dużo prostoty. Lampka kuchenna na stole lub na oknie za mną, a przede mną tłum chłopów w kożuchach lub opończach. Tłum cichy i niedowierzający, a nieznanego człowieka mierzący spod oka. Mówiłem nieraz kwadrans i więcej zanim czyjaś pierś podniosła żywsze westchnienie, zanim czyjeś oko jaśnieje zabłysło. O oklaskach nie było mowy. I tylko potem, po zgromadzeniu wyciągały się ręce ze wszystkich stron po broszury i odezwy. Odprowadzano mój wóz daleko poza włość gwarząc po nocą, a na pożegnaniu wyciągała się co śmielsza dłoń ku mojej dłoni. Tak jeździłem po licznych wsiach niemal nie spotykając wrogów.”

W r. 1897 otrzymuje Daszyński w okręgu krakowskim, a więc i ze wsi 13.000 głosów i zostaje wybrany posłem.

**

W erze sanacyjnej tylko nieliczna garstka socjalistów z Moraczewskim na czele ulega wpływowi obozu Piłsudskiego; ogromna bowiem większość polskich socjalistów przeciwstawia się dyktatorskim zapędom Piłsudskiego i paraliżuje skutecznie nieraz jego zamachy na demokrację i wolność.

W czasie zaś strajków chłopskich — socjaliści — acz masy robotnicze mogły przez nie ponieść szkodę w wyżywieniu — odnoszą się do poczyną chłopskich z dużym zrozumieniem i popierają je czym i jak mogą.

W manifestacjach w okresie aresztowania posłów ludowców i socjalistów i wywiezienia ich do Brześcia — jak i w olbrzymich zgromadzeniach za uwłaskawieniem Witosa i towarzyszy będących na emigracji, biorą solidarnie udział z masami chłopskimi; i masy robotnicze — a obok mówców ludowych występują także przy ogólnym aplauzie i mówcy socjalistyczni.

**) Ignacy Daszyński, Pamiętniki T. I str. 101.

nopolistyczny, którego celem jest zgniatanie wszelkimi środkami świadomości klasy pracującej, a tymi środkami są prasa, dolar i władza, wybierana „z ludu przez lud i dla ludu”. Toteż władze miejskie, powiatowe, stanowe i krajowe zawsze pozwolą każdemu z osobna i wszystkim razem stanąć kiedy chcą na ulicy i nową religię głosić i różne cudowne rzeczy sprzedawać, gumę do żucia i maszyny do obcinania paznogi. Można nawet stanąć na skrzynce od mydła i godzinami dowodzić, że Boga nie ma. Można na głowie stać i na jednej nodze skakać, tamując ruch na głównej ulicy miasta. To wszystko wolno, ale nie wolno święta klasy robotniczej obchodzić publicznie na ulicach miasta.

Obchody święta pierwszo-majowego za mojej bytności w Ameryce (1912—1936) odbywały się wieczorem po pracy w salach i salkach, a w wielkich miastach, także po parkach i placach, ale zawsze z przeszkodami prowokatorów i policji.

Jak pamiętam w Ulica, w stanie New York, gdzie byłem przez lat 15, nigdy nie odbył się ogólny obchód święta majowego, choć miasto to liczyło ponad sto tysięcy mieszkańców i było centrum przemysłu tkackiego i wielkich odlewni żelaza.

Po pierwszej wojnie światowej, kryzys z roku na rok pogłębiał się coraz bardziej. Na brukach miejskich coraz więcej było bezrobotnych, w lokalach dobroczynnych organizacji robiło się coraz ciśnień, a ogonek przy wydziale miejskim, gdzie raz na dzień dawali zupę z cuchnącej fasoli, był coraz dłuższy.

Ludność robotnicza w tym mieście, to byli w większości Polacy i Włosi. Polaków liczone tam na szesnaście tysięcy. Do Włochów jak zwykle wkładał się dziwnych odmian syndykalizm i anarchizm. Dużo mówili, agitowali, ale żywej organizacji nie mieli. Gdy się zeszli, to obradowali bez sekretarza, bo to dyktatura, wszyscy na raz mówili, wymachując rękami a potem rozchodzili się.

Polscy robotnicy to chłop polski. Przyszli czas, że znalazł się na bruku bez pracy. Ten sprzedał i już przejadł automobil, tamten dom, innemu znów mało co zostało na książeczce oszczędnościowej w banku, a banki upadają. Już ich w całym kraju upadło szesnaście tysięcy, a z banku można wycofać tylko pewną określoną sumę.

Zbliżało się święto pierwszo-majowe w roku 1924. Na parę dni przed świętem udaliśmy się, my Polacy, do zarządu miejskiego o pozwolenie obchodzenia święta na jednej z ulic w dzielnicy polskiej. Posłaliśmy tam

nie jako Polacy, ale obywatele Stanów Zjednoczonych i członkowie Workers Party (Partii Robotniczej), dzisiejszej Komunistycznej Partii Ameryki.

Kategorycznie pozwolenia nam odmówiono, natomiast radzili „po przyjacielsku” zrobić to na jakiejś sali, tylko bez awantur.

Początkowo rodacy stanęli zdala na chodnikach. Nas na środku placu było może 20 osób, krzesło i dwa napisy po polsku i po angielsku: „Obchód Święta Klasy Robotniczej Pierwszego Maja! Niech żyje solidarność klasy robotniczej!”

Gdy począłem mówić o święcie majowym i jego znaczeniu, zebrani zeszli z chodników i zajęli plac przed kościołem. Powołałem na mówcę młodego chłopaka, Amerykanina, Bransona. Liczył lat 18, ale świadomy i dobry orator. Mówił po angielsku, co większość redaktorów rozumiała. Nie wykladał teorii i do rozumu nie mówił, tylko do żołądków, co słuchacze przyjmowali eutuzjastycznymi oklaskami.

Nagle zjechała policja z zastępcą komendanta na czele. Było ich sześciu, liczyli bowiem, że będzie ze 100 słuchaczy, jak zwykle, rozpedza ich, mówcę ścignają i już będzie po obchodzie.

Masa ludu wypełniająca plac i masowe oklaski zatrwożyły ich. Podkomendant coś powiedział do policjantów i ruszył sam ku mówcy, rozpychając ludzi a za nim, zauważyłem, krok w krok ruszył jeden z rodaków silnie zbudowany, który dwa lata temu przed kościołem wyrwał mi ulotki z ręki, podał je, a mnie pięścią zagroził jako czerwonomu.

Branson mówił dalej, a podkomendant zbliżył się i chciał zedrzeć ręką napisy. W tym momencie nasz rodak idący za nim, tak silnie całą nogą stanął na jedną jego nogę, że ten aż stęknął, rękę opuścił i zbaraniał.

Nie wiem, dlaczego nie wezwano posiłków, Podkomendant wycofał się do stojących z tytu policjantów.

Jakiś dureń, siedzący w aucie przed plebanią księdza Działuka począł trąbieniem przeszkadzać mówcy. Policjant podszedł i kazał mu zachować się po ludzku.

Tak złamaliśmy mniemanie, że w Stanach Zjednoczonych można tylko wtedy święto Pierwszego Maja obchodzić, gdy na to kapitałści pozwolą.

Prawda, że ksiądz w niedzielę z ambony wiele naurażał swoim parafianom za słuchanie masonów, bezbożników i z bolszewickich rodaków. Ale żołądki, puste żołądki robotników i poczucie ich krzywdy były silniejsze od wywodów ks. Działuka.

Michał Stefanowicz

Świetlice robotnicze

ŚWIELTICE robotnicze są instytucją stosunkowo młodą. Jeszcze przed niedawnym czasem robotnik, szukający dróg do podniesienia swego poziomu kulturalnego, czy życia społecznego, znajdował tylko jedną drogę — do szynku.

Szynk był jedynym tradycją określonym miejscem do robotnika uciekał z domu, szukał wytchnienia po pracy. Jeżeli miał zamiłowanie do muzyki, knajpa dostarczała mu jej w formie i gatunku przystosowanym do poziomu tej instytucji.

Przed świetlicami stało zadanie przerwania utartej drogi, fabryka — knajpa — dom i zwrócenia jej w inny kierunek. Dla spełnienia tego celu świetlice przyjęły trzy zasadnicze postulaty do realizacji: — stworzenie robotnikowi odpowiednich warunków odpoczynku po pracy, udostępnienie zdobyczy kulturalnych i szerzenie oświaty, wreszcie ułatwienie i zachęcanie do własnej produkcji kulturalnej.

Świetlica jest instytucją opierającą się na pracy kolektywnej — działanie zbiorowe jest nieodzownym warunkiem jej życia i istnienia. Rola kierownika ogranicza się w ogólnym schemacie pracy świetlicowej do stworzenia warunków dla wspólnej aktywności. Nie umniejsza to bynajmniej funkcji kierownika — rozbudzenie aktywności w zespole i umiejętne kierowanie nim, przez zrozumienie potrzeb i wyzyskanie naturalnych dążeń — to praca wymagająca dużej energii, sumienia, a przede wszystkim szczerego oddania się swojemu zajęciu.

Warunki materialne grają bezwzględnie dużą rolę w całokształcie pracy świetlicowej. Nigdy jednak nie grają roli decydującej. Są świetlice bogate i ubogie. Jedne mieszczą się w luksusowych pałacach, inne zajmują miejsce po magazynach lub halach maszyn. Różnią się znacznie wyposażeniem. Stan zagospodarowania nie decyduje jednak o wynikach pracy świetlicy. Świetlice powstające własnym wysiłkiem zespołu, stanowiące wspólny dorobek — osiągają najlepsze rezultaty w realizacji trzech naczelných postulatów świetlicowych.

Związki Zawodowe jako instytucja nadrzędna zajmują się stroną materialną i organizacyjną świetlic. Subwencja w wysokości 10 tys. złotych miesięcznie starczy zaledwie na opędzenie najpilniejszych nieodwrotnych potrzeb — zakup książek do biblioteki, prenumerata czasopism, opłacenie prelegentów i instruktorów. Od aktywności świetlicy zależy jej rozwój i zagospodarowanie. Świetlice walczą z trudnościami finansowymi. Walczą zwycięsko, powiększając z roku na rok swój stan

posiadania. Źródłem dochodu świetlicy są przeważnie imprezy widowiskowe, najbardziej popularna firma pracy świetlicowej.

Świetlica jest instytucją organicznie związaną ze swoim zakładem pracy. Pomoc ze strony zakładu jest czynnikiem o wielkiej doniosłości, oprócz strony materialnej posiada duże znaczenie moralne. Pomoc ta może się przejawiać w różnych formach, od zwalniania pracowników należących do zespołów muzycznych czy kształceniowych na próby i wykłady do zupełnie drobnych — jak wprawienie wybitej szyby czy dostarczenie żarówek. Praca w świetlicy ulega często zahamowaniu przez te właśnie drobne braki. Stosunek władz zakładowych do tak ważnych placówek przedstawia często dużo do życzenia. Nieraz dopiero efekty pracy zespołów świetlicowych rozbijają ten mur nieufności i obojętności.

Obojętność dla spraw świetlicowych daje się zauważyć nie tylko wśród inteligencji zatrudnionej w fabrykach. Świetlice wyrósł i rozwijają się prawie wyłącznie dzięki wysiłkowi robotników. Inteligencja niechętnie zagląda do świetlicy. W świetlicy rzadko zjawiają się osoby, które z racji swojego zajęcia i stanowiska mogłyby i powinny wniesić dużo pozytywnych wartości.

Wyniki — i to jak wskazują konkursy i współzawodnictwo świetlicowe — wyniki bardzo doniosłe i efektowne zawdzięcza klasa robotnicza samej sobie.

Poważnym mankamentem w pracy jest brak wykształcenia wśród kierowników świetlic, którzy rekrutują się przeważnie z załogi fabrycznej. Z drugiej strony niezwykle istotne znaczenie ma brak dystansu społecznego między kierownikiem a zespołem.

Świetlice są instytucją społeczną opartą na zdrowych, naturalnych podstawach. Ich niedomagania są symptomem walki o wyrobienie sobie miejsca wśród innych instytucji, o stworzenie własnej tradycji. Ich osiągnięcia są dowodem celowości istnienia, zapowiedzią przyszłych zdobyczy, są dowodem ciagle wzrastającego zainteresowania zagadnieniami kulturalnymi uświadomionej klasy robotniczej.

Od Administracji

Prosimy o wpłacanie
prenumeraty na rok
1948

*) Ignacy Daszyński. Pamiętniki T. I str. 83.

Seweryn Skulski

Pierwszy Maja w Ameryce

Co dobre bolszewizm rozwali,
Tu żadnych innych nie ma złud;
Będziemy wspólnie rabowali,
A wszystkich nas wydusi głód.

TAKA pieśń przerobiona z pieśni bojowej klasy pracującej ukazała się w „Dzienniku Zjednoczenia” w 1924 w przeddzień pierwszego maja. Dziennik ten był organem Zjednoczenia Polsko — Rzymsko — Katolickiego, organizacji nader pobożnej, drugiej co do wielkości po Związku Narodowym Polskim.

Nie tylko ten niebieski dziennik, ale większość prasy pol.-amerykańskiej będącej pod wpływem kleru, przed każdym nadchodzącym świętem pierwszego maja, zamieszczała różnorakie paszkwile, kłamstwa i wymysły o tym święcie i ludziach, którzy chcieli je obchodzić. Nic zatem dziwnego, że robotarż czytający „Dziennik Zjednoczenia”, „Dzien-

nik Związkowy”, „Kurier Polski”, „Nowy Świat” i różne po osadach polskich piśmka parafialne, nie tylko na obchody własnego święta klasy robotniczej nie przychodził, ale wręcz wrogo odnosił się do nich. „Dziennik Ludowy”, „Głos Robotniczy” i „Trybuna Robotnicza” nie były tak szeroko czytane, aby mogły w przekonaniach Polonii w Ameryce zwyciężyć kłamstwa i paszkwile dziesięciu dzienników i piętnastu tygodników z kilkoma miesięcznikami podobnymi „Rycerzowi Niepokalanemu”.

Ogół amerykańskiej klasy pracującej przez lat wiele był w tyle poza klasą robotniczą Europy. Nie zdobył jeszcze takiej siły, aby odważyć się w dzień swojego święta nie iść do kopalni, fabryk, hut i zakładów. Ranek święta majowego niczym nie różnił się od każdego dnia pracy. Syreny jak zwykle rzycały, tramwaje przez miasto bieżyły tu i tam pod bramy fabryk, napełnione robotnikami. Tylko szpicie przez cały dzień pilnie obserwowali „czerwonych” i częściej policjanci rośli, z dużymi bruchami i pałkami w rękach, przechadzali się dzielnicami robotniczymi i obokrajowców, śledząc, jakie i kto tego dnia rozdaje ulotki.

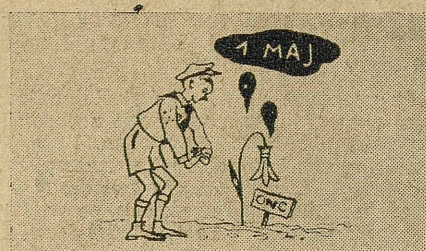
Konstytucja amerykańska gwarantuje każdemu człowiekowi w Stanach Zjednoczonych prawo słowa, przekonań i zebrań, ale jest oprócz konstytucji coś innego, co osobiste interesy i prawa niepisane ma za ideał większy ponad konstytucję. To kapitał mo-

ADMINISTRACJA „WSI”
ZAWIADAMIA, ŻE SĄ DO NABYCIA
ROCZNIKI „WSI” W OPRAWIE
Z ROKU 1947.
CENA ROCZNIKA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI ZŁOTYCH 1.500.—

BARTOSZ

ZNACIE ICH?

Oddzielnie czy razem?



Drogi Remigiuszu!

Jestem tak dalece zatrwożona ostatnimi wydarzeniami jakie zachodzą na terenie naszego Związku Harcerskiego, że muszę Ci się koniecznie zwierzyć ze swoich poważnych obaw i trosk.

Dziś, jak ci zapewne wiadomo musieliśmy wszystkie pójść na defiladę 1-szo majową. Nie byłoby to jeszcze takie złe. Miałymy świetną okazję zademonstrować przed całym miastem naszą dziarską postawę, pokazać tym ZWM-owcom jak się maszeruje. Defilada to przecież z dawien dawna nasza specjalność. Tymczasem pomyśl tylko — nic z tego nie wyszło.

Defilowaliśmy niestety na przeplatankę z ZWM-em i OMTUR-em. Co gorsza trzeba było się wziąć pod ręce. Wyobraź sobie, umieścić mnie między dwiema — jak to się dziś mówi — dziewczętami z ludu. Jedną z nich to akurat jak na złość córka robotnika z suteryny domu mego ojca. Też mi towarzy-

stwo, co? Gdybym szła ja sama i obok tylko one dwie, każdy by mnie zauważył i wyróżnił a tak, to zginęłam zupełnie w tłumie. A wszystko przez te demokratyczne zwyczaje.

Wujcio Teofil, który jak wiesz — z braku innego zajęcia — obserwuje pilnie zachodzące przemiany dziejowe, oświadczył dziś przy kolacji, że czegoś podobnego historia naszego narodu nie znała. Jak Polska — Polska, każdy stan chodzą oddzielnie. Kiedy Wujcio Teofil skończy wielkie dzieło o szlachcie polskiej na Wileńszczyźnie (ma już 1000 stron maszynopisu) zabierze się do opracowania obyczajów społecznych. Ciocia nazywa go tak: mój kochany Podfilipski.

Wuj powiedział, że obyczaje się psują, bo teraz chcą epoki robotniczej, odpowiedzialności młodzieży za dzieje narodu i rozmaitych innych rzeczy, o których się w harcerstwie nigdy nie słyszało, i wszyscy pójdziemy na lato robić w tej „Służbie Polsce”, jakby nie było robotników do tego.

Wuj Teofil powiada, że mamy tu do czynienia z próbą sztucznego tworzenia proletariatu, inaczej rząd nie mógłby rozpowiadać na prawo i lewo o Polsce robotniczej. I wuj powiada, że on to zagadnienie opracuje naukowo.

Drżę o naszą miłość Remigiuszu, ponieważ, jak gdzieś czytałam, bodajże u Iwaszkiewicza — musi mieć ona odpowiedni klimat. A przy łopacie nasza miłość nie kwitnie.

Twoja smutna dziś Maryla.

Krzepnie „narodowy duch”



— Pan mnie musi pocieszyć. Od rana chodzę jak struty. Daję wszystko za podniesienie na duchu.

— A coż to się z kolegą dzieje, że taki nagle ponury?

— Nie mogę przeżyć tego 1-go maja. Wyjrz Pan Panie kochany przez okno. Miasto udekorowane, a on; od rana idą, i z mojej dawnej fabryki też idą! Panie! Do grobu mnie to wpędzi! Jak mogli, jak mogli! Nasi sprzymierzeńcy do tego dopuścili.

— Eee... co pan plecie. W górę serca patriotyczne! Sytuacja jest znacznie lepsza niż przed rokiem!

— Jaki... naprawdę?

— Daj no pan mapę Europy, zaraz panu

wytłumaczę, że czas najwyższy na optymizm. — Patrz pan, jakie kraje mamy już wygrane. Dania, Holandia, Francja, Hiszpania, ostatnio Włochy. Pozostaje jeszcze tylko Grecja. Ładny wianuszek dookoła żelaznej kurtyny, co?

— A z Grecją, prędko pójdzie, kochany kolego?

— Rozumie się, Markos już tylko markuje wojnę.

— Rośnie moje serce, krzepnie narodowy duch. A mówicie kolego, skąd oni uderzą na tę demokrację?

— Przez Bałkany.

— Będą aż tam podwozić armie?

— A po co? Nie zna pan strategii alian-tów? Turcy są przecież...

— Ii... to dziady i mało ich.

— No więc dlatego mobilizują alianci Arabów, niby to do walki z Żydami. W gruncie rzeczy pójdą na Bałkany. Wśród Arabów żyje tradycja wypraw na Europę.

— A dużo jest tych Arabów, bo zapomnia-łem?

— Będzie coś ze 20 milionów. Starczy na-pewno.

Nie rozumiem wobec tego, czemu się te masy pracujące tak dzisiaj cieszą. Z. S.

Taktyka walki z proletariatem



— Patrzcie kochany dyrektorze co to się te-raz na ulicy dzieje!

Wszędzie te czerwone płachty! Nigdy nie przypuszczałem że jest ich tyle.

— Przed wojną dawaliśmy sobie niezgorzej z nimi radę.

— Odpowiedzcie mi dyrektorze?

— Ho, ho miałem taktykę walki z proletariatem.

— Pan tak na własną rękę potrafił... z proletariatem?

— Widać, że z pana młody jeszcze przedsię-biorca. Zasada jest zawsze jedna: robotnicy nie powinni tworzyć jednej grupy politycznej, bo wtedy są groźni.

— No, racja, ale jak pan to robił?

— Prosta rzecz. Część z nich należy zazwy-czaj do PPS-u. Starałem się, żeby druga część należała do Chrześcijańskich Związków Za-wodowych, rozumie pan?

— Co to znaczy, że pan się starał?

— Co to znaczy? Zainstalowałem na fabry-ce księdza i wynajmłem kilku dobrych agita-torów. Najlepsi byli akademicy, ze Stronnictwa Narodowego. Co jak co, ale gdyby zawsze mieli wielkie. I spora część robotników szła z nimi.

— A jak cały ten mechanizm działał?

— Automatycznie, proszę młodszego kolegi. Jak socjaliści grozili strajkiem, to N. P. R.-owcy wysyłali delegację do mnie, żeby uzy-skać porozumienie. Jeżeli natomiast zachcia-ło się N.P.R.-owcom wystąpić do mnie z pre-tensjami, to znowu nie poparli ich socjaliści. I tak w kółko, a praca szła, pieniążki płynę-ły. To były czasy, hej! Iza się w oku kręci!

— Rzeczywiście, toż to jest już czysta nauka! Dlaczego nie wydał dyrektor książki?

— Nie było czasu. Teraz nie nie robię, więc mam sporo czasu na rozmyślanie. Mówicie o wydaniu teorii walki z proletariatem? Hm, słusznie, tylko czy już nie zapóźno?

Wj.

LISTY

Dwie drogi

Szanowny Panie Redaktorze!

Nasza czwarta klasa przeżywa w dniach ostatnich znów poważny kryzys, krótko mó-wiąc mać się nam lekko w głowie. Pisałem już Panu Redaktorowi jak trudno nam nie-opierzonym siedemnastolatkom uporządkować sobie jakoś myślowo cały szereg zagadnień o świecie: lekcja przyrody, religia, religia sobie — nie wiemy wreszcie sami komu wierzyć. Ostatnio zaczął nam trochę przecierać w głowie pan od zagadnień współczesnych o Pol-sce i świecie. Bomba znów wybuchła gdy po-lonista zaczął z nami przerabiać pozytywizm. Rozpoczął, jak to właśnie nam zapowiedział, od pokazania teorii naukowych, na których wyrósł podobno nasz pozytywizm, mówił o Comcie, o Spencercie, najdłużej zatrzymał się na Darwinie, mówiąc o pochodzeniu czło-wieka, o jego długim rozwoju, profesor prze-szedł później do pokazania (to jest jego ulu-bione wyrażenie) rozwoju człowieka w spo-łeczeństwie. Tu się rozgadał na dobre mówiąc nam długo a nie całkiem dla nas zrozumiałe o materialistycznej koncepcji życia, co chwi-la przy tym wymieniał nam nazwisko Karola Marksa, jako twórcy teorii „materializmu dziejowego” (nasz polonista jak zacznie mó-wić, to wydaje mu się, że my wszystko po-winniśmy rozumieć). Dzwonek przerwał lek-cję, gdy na naszą klasę poleciało słowo: ma-terializm dziejowy. Następnie była religia. My do księdza z tą całą sprawą, niech coś dorzuci od siebie, niech powie nam konkretniej. — No i wtedy dopiero się zaczęło: że jesteśmy jeszcze zółtodzioby, że miedrujemy, że wy-daje nam się, że wszystkie rozumy już po-zjadaliśmy, a przecież sprawa jest prosta. — Materializm dziejowy, podjął ksiądz prefekt, to teoria naukowa a wiecie jak zwodne są poglądy wypowiadane przez człowieka, ile to już sądów zostało powiedzianych przez jed-nych naukowców (tu ksiądz się pobłażliwie

uśmiechnął) które później obalali następni, tak samo z tym materializmem, czyż nie roz-sądniej przyjąć prawdę niezmienną, raz na zawsze objawioną, czyż człowiek nie ma wte-dy duchowego spokoju, czy świat nie wydaje się wtedy prosty, taką prawdę przecież przy-nosi nam biblia. Ksiądz prefekt, aby zetrzeć resztki wątpliwości, widocznej na naszym twarzach, zaciągnął mnie i Kazika do gabi-netu przyrodniczego (podczas pauzy jest on za-wsze pusty) wyciągnął z teczki niewielką książeczkę i z palcem na ustach wręczył nam mówiąc — „czytajcie, to jest odrutka na te dzisiejsze poglądy, na te wasze modne socja-lizmy, racjonalizmy i inne mądrości”. Wybie-gliśmy z gabinetu. Zamknęli w ubikacji od-czytaliśmy tytuł książeczki: „Na gruzach zbu-rzonych ołtarzy” autor: Ks. Dr T. Macior. P. S. M. wydawnictwo księży Pallotynów, Warszawa rok 1937. Kilka dni czytaliśmy, po-zostało mi w głowie kilka sądów, że cywili-zacja wyrodnieje, że idziemy ku zagładzie, że kultura upada, a przyczyna wszystkiego tkwi w racjonalizacji życia. Zaczyna mi się ostatnio po nocach śnić obraz walącej się w gruzy Europy. Dręczącemu snowi towarzy-szą słowa: — oto dzieło socjalizmu, oto rezul-taty racjonalizacji życia.

Książeczka nadal krąży wśród uczniów, w klasie tworzą się dwa obozy — klasowi obrońcy cywilizacji posprawiali sobie szkaplerzyki.

Nie wiem sam co robić w tej sytuacji.

Jan Olejnik, uczeń IV klasy

OD REDAKCJI

Dużą pomocą przy wyjaśnianiu sobie świa-topoglądów wątpliwości będzie dla Was praca A. Schaffa „Wstęp do teorii marksiz-mu” (Książka 1946).

Jest to książka zapewne trudniejsza niż wydawnictwa Księży Pallotynów, lecz praca nad przegryzaniem się przez nią z pewnoś-cią bardziej się opłaci.

Propozycje dla pisarzy

który trudem i potem, przysparza chleba co-dziennego — nie ma.

A tematyka jest zupełnie ciekawa, np. praca robotnika rolnego, wykwalifikowanego na stacjach hodowlanych, terenowa oraz la-boratoryjna.

Praca naukowca nad nowymi odmianami roślin, nad utrwaleniem cech dodatnich. Na-stępnie — tematy wynikające z nowego ustroju rolnego, jak komitety folwarczne, współzawodnictwo pracy, życie w świetli-cach, w przedszkolu itd.

Temat — w poszukiwaniu autora. Uwagi powyższe przesyłamy do Redakcji „Wsi”, sądząc, że literaci więcej okażą w tym kierunku zainteresowanie.

Instytucja nasza zgłasza ułatwienie finan-sowe literatowi który podjąłby się opraco-wania pieśni dożynkowych, inscenizacji, czy utworu dramatycznego z zastosowaniem po-wyższej tematyki.

Warszawa, dn. 15 kwietnia 1948 r.

Dyrektor:

Dr. J. Łeckiński

Książki nadesłane do redakcji

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Nauka o zwierzętach:

Z. Zalewska — Patrz na zwierzęta.

— Budowa i życie nasienia.

— Poznaj zwierzęta ssące.

Zwierzęta pożyteczne — sprzymierzeńcy człowieka:

M. Gromadzka — Owady pożyteczne.

— Ptaki pożyteczne i ich ochrona.

Użyteczność zwierząt hodowlanych i dzikich:

K. Golański — Jedwabnik morwowy.

J. Dubiński — Chów zwierząt jako zagad-nienie gospodarcze.

Zwierzęta pasożytnicze i roznoszące choroby:

Z. Dymowska — Komar i jego rola w prze-noszeniu malarii.

I. Łukasiewicz — Pierwotniki pasożytnicze.

Bogactwa kopalne świata:

F. Barciński — Bogactwa kopalne ZSRR.

Matematyka dla każdego:

T. Czechowski — Przypadek a liczba.

W. Krysiński — Jak liczono dawniej, a jak li-czymy dziś.

Ruchy i siły:

A. Kwiek — O pracy i energii.

Szcz. Gnatowski — Jak zważono ziemię, słońce i planety.

Światło:

St. Ziemecki — Światło widzialne i niewi-dzialne.

W. St. Urbański — Analiza widmowa.

Astronomia w perspektywie wieków:

T. Musiatowicz — Czy ziemia jest w środku świata?

E. Rybka — Rozwój idei astronomicznych od czasów najdawniejszych do chwili obecnej.

Ziemia i jej dzieje:

J. Premik — Czy wiatr jest naszym sprzy-mierzeńcem czy też wrogiem?

Fr. Bieda — Co wiemy o początkach życia na ziemi?

— Kto zapisywał kronikę dziejów ziemi?

M. Książkiewicz — Jak woda zmienia po-wierzchnię ziemi.

St. Karczewski — Wulkany czynne i wy-gasłe.

Fr. Bieda — Średniowiecze dziejów ziemi.

W. Pożaryski — Jak się kształtowało oblicze ziemi?

M. Książkiewicz — Jak powstają góry.

Organizacja i kierownictwo:

W. Adamiecki — Co to jest organizacja.

Polscy działacze społeczni i oświatowi:

W. Dzwonkowski — Karol Marcinkowski.

Własności metali:

M. Grotowski — Czy istnieje próżnia?

Literatura europejska w okresie renesansu i baroku:

St. Helsztyński — Wizerunek Wiliama Szeks-pira.

Własności materii:

F. Jankowska — Zasady żeglarsstwa.

Sport i wychowanie fizyczne:

A. Kamiński — Henryk Jordan, twórca no-woczesnego wychowania fizycznego w Polsce.

Nauka o ziemi:

L. Klima — Kształt i wielkość ziemi.

Arytmetyka:

W. Krasiński — Działania na liczbach natu-ralnych.

Komórka — podstawowy element życia:

Co powinniśmy wiedzieć o pierwot-niakach.

Ważniejsze zespoły roślinne:

St. Maćko — Las jako zespół biologiczny.

Gospodarka planowa:

T. Sławiński — O planowaniu.

Zwierzęta żyjące społecznie:

R. J. Wojtusik — Społeczeństwo pszczół.

Włókna przedziałne:

H. Wanieczek — Len i lniarstwo.

Ważniejsze wiadomości o roślinach upraw-nych:

D. Wanie — Sadownictwo.

Przystosowanie zwierząt do różnych środowisk:

R. J. Wojtusik — Wędrówka ptaków.

Nauka o roślinach:

Z. Zalewska — Budowa korzenia i jego rola w życiu rośliny.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;

1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł., półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

P K O ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—026091